Nr. 172. Lwów — Czwartek dnia 30 Lipca. Rok 1903.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz 2 k 20 h
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h
Numera z poprzednich dni po 20 h

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h
tłustym garmondem „ „ 6 h
koresp prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 60 h
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h

Dziś: św. Abdona i Senny | Maryny M.
Jutro: św. Ignacego Loj. | Emiliana

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o godz. 4 m. 39
Zachód „ „ 7 m. 32

Długość dnia godzin 14 minut 53
Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

W pustyni Sarowskiej.

Uwaga całej Rosyi skierowana jest obecnie na pustynny kawał ziemi na granicy gubernii niżnonowgorodzkiej i tambowskiej, gdzie pod protektoratem i przy osobistem udziale cara i carowej, najwyższych dygnitarzy państwowych i wielkiego zastępu duchowieństwa prawosławnego, odbywa się z prawdziwie wschodnim przepychem uroczystość przeniesienia śmiertelnych szczątków zmarłego przed wielu laty pustelnika Serafina z mogiły, w której dotychczas spoczywały, do monasteru. Car ofiarował srebrną trumnę na pomieszczenie zwłok owego ojca Serafina, a ulegając prośbom synodu, który przez tę religijną uroczystość chce podnieść w oczach ludu znaczenie i powagę duchowieństwa prawosławnego — które pod względem pozycyi towarzyskiej i wpływu na ludność nie zajmuje dotychczas nawet w przybliżeniu tak poważnego stanowiska, jak duchowieństwo katolickie, urokiem swej potęgi monarszej dodaje blasku tej uroczystości. Ściągnięto tedy z Petersburga kilka pułków gwardyi, pobudowano gościńce i baraki dla pielgrzymów, urządzono osobne pociągi celem przewiezienia ich z odległych zakątków Rosyi na miejsce, słowem, postarano się, aby obchód wypadł jak najwspanialej i olśnił tych, którzy będą jego świadkami. Dość powiedzieć, że na koszta tej uroczystości wyasygnował rząd kilka milionów rubli. Miejscem jej jest, jak zaznaczyliśmy na wstępie, pustynia Sarowskaja na granicy gubernii niżnonowgorodzkiej i tambowskiej. Tam to prowadził przed wielu laty pustelniczy żywot ów ojciec Serafin, a lud rosyjski czci go jak świętego. Obecna zaś uroczystość przeniesienia jego zwłok z mogiły do cerkwi, gdzie jako relikwie wystawione będą na widok publiczny, jest niejako urzędową jego kanonizacyą.

Żywioły rewolucyjne w Rosyi, które oczywiście tem łatwiejszą mają robotę, im mniej religijny jest lud, rozrzuciły po Rosyi w niezliczonych egzemplarzach broszurę, w której wyszydzają cześć oddawaną temu ojcu Serafinowi i wrzekome cuda, jakie Bóg na nim okazał, a o których czerńcy wiele opowiadali. Między innemi opowiadali oni, że ciało ojca Serafina, pomimo, że od lat wielu spoczywało w ziemi, nie uległo wcale rozkładowi, lecz zachowane zostało tak, jak gdyby dopiero wczoraj zostało złożone. Tymczasem po ekshumacyi zwłok okazało się, że zachowały się tylko kości i trochę włosów z głowy i brody. Wiadomość o tem wywarła bardzo przykre wrażenie w Rosyi i dla tego to metropolita petersburski Antoniusz napisał a prawosławny synod uznał za właściwe rozszerzyć w milionach egzemplarzy odezwę, pouczającą ludność, że do oznak świętości nie należy bynajmniej to, iż ciało świętego nie ulega rozkładowi po śmierci.

Przytoczone w tej odezwie przez metropolitę Antoniusza argumenty, zapożyczone w znacznej części z rozpraw katolickich teologów, opiewają jak następuje:

„Są u nas ludzie nierozsądni, odznaczający się pobożnością, którzy dowodzą, że relikwie świętych nigdy i bezwarunkowo nie ulegają zniszczeniu, tj. są zupełnie całe, nie zniszczone. Tymczasem twierdzenie podobne jest zupełnie błędne i niezgodne z powszechnie uznanem przez Kościół przekonaniem, według którego niezniszczalność relikwi nie jest bynajmniej uważana za bezwzględny warunek do uczczenia wybranych Pańskich. Dowód świętości świętych stanowią cuda, które objawiają się przy ich trumnach lub relikwiach, bez względu, czy zwłoki są całe, czy też istnieją tylko pozostałe z nich kości. Niezniszczalność relikwi, jeżeli istnieje, jest cudem, lecz tylko dodatkowym, do tych cudów, które powstają za ich pośrednictwem. I świętość też starca Serafina określono nie według stanu jego zwłok, lecz według wiary ludu i licznych cudów, które, po właściwem ich zbadaniu, nie uległy zgoła żadnej wątpliwości, według zaś rodzaju swego zaliczone zostały do objawów, stanowiących cuda działającej pomocy Bożej, uzyskanej przez O. Serafina za pomocą modlitw. I dopiero po takiem stwierdzeniu świętości O. Serafina wobec Boga uchwalono, ażeby czcigodne jego zwłoki stały się przedmiotem najpobożniejszej czci przez wszystkich uciekających się do jego orędownictwa. Albowiem nie skrywa się światła pod korcem. Ciężkoby też było dla serca wierzącego, ukrywać szczątki przewielebnego pod ziemią.

„Człowiek święty wszystko posiada święte i cudowne, nawet cień, nawet odzież, nie zaś jedno tylko ciało lub kości. I tak, cień apostoła Piotra, przepaska głowy apostoła Pawła, zapobiegały chorobom. Od dotknięcia kości proroka Elizeusza zmartwychwstał zmarły. Nawet proch, po którym stąpały nogi świętego, otrzymuje siłę leczniczą. Po śmierci przeto starca Serafina ziemia z jego grobu, kamień, na którym się modlił, woda ze studni, którą wykopał, uważane są za święte, zabierane i unoszone przez wiernych do domów, jako czyniące cuda i pomagające w różnych przypadłościach. Szczątki zaś jego ciała, kości jego, stanowią dla wiernego najcenniejszą świętość, skarb rzeczywisty, za którego pośrednictwem czciciele jego otrzymają pomoc niebieską.

„Tak więc, po starcu Serafinie pozostały w trumnie tylko kości, szczątki ciała, lecz jako szczątki wybrańca Bożego, człowieka świętego, są one relikwiami świętemi i wydobywają się obecnie z uroczystą czcią z wnętrza ziemi, celem najpobożniejszego uczczenia ich przez wszystkich, uciekających się pod orędownictwo przewielebnego O. Serafina“.

O wiele dalej niż metropolita posunął się w obronie świętości o. Serafina i wrzekomych cudów, jakie się dzieją za jego sprawą, rosyjski dziennik urzędowy *Prawitelstwiennyj Wiestnik*, gdyż oto np. między innemi napisał, iż przy składaniu szczątków jego do nowej trumny wszyscy obecni zdumieni byli przecudną wonią balsamiczną, przyjemniejszą od wszelkich pachnideł, jaką te szczątki wydawały.

Oczywiście nie będziemy się wdawali w roztrząsanie wartości przytaczanych tu argumentów na poparcie świętości tego prawosławnego świętego. Dla nas zajmującem w tem jest to głównie, że w caracie, gdzie religia prawosławna była jedną z form urzędowania i jednym z atrybutów władzy carskiej, gdzie więc ona była dotąd zimną, sztywną, nudną jak każdy akt urzędowy, nie przemawiającą ani do fantazyi, ani do serca — zaczyna się teraz akcya w kierunku ożywienia i wzbogacenia tej urzędowej, tej suchej, bezbarwnej i nudnej religii państwowej.

Czy car Mikołaj II jest w samej rzeczy człowiekiem tak gorącej wiary, czy tylko przyszedł do przekonania, że gorąca wiara jest najważniejszym czynnikiem w życiu politycznem i społeczeem narodu, czy z obu tych powodów, ale faktem jest, że od pewnego czasu dostrzegamy gorącą z jego strony pieczołowitość w celu podniesienia duchowieństwa prawosławnego i wzmocnienia religijnych uczuć w narodzie rosyjskim. Jakkolwiek więc uważamy oczywiście jako katolicy prawosławie za herezyę, to przecież nie możemy nie uznać, że dążność do podniesienia uczuć religijnych w narodzie rosyjskim jest bardzo chwalebna, a tem może jeszcze chwalebniejsza, że im bardziej duchowieństwo prawosławne będzie kształcone i pobudzane w kierunku wyrobienia w sobie uczuć szlachetniejszych, tem prędzej może nastąpić to, co dla cywilizacyi i pomyślności ludów słowiańskich byłoby rzeczą największej wartości, mianowicie zjednoczenie Kościołów. Ale oczywiście dojść do tego nie można bez zdjęcia charakteru biurokratycznego z duchowieństwa prawosławnego, a więc bez rozdzielenia władzy duchownej od świeckiej.

Po zgonie Papieża.

(Telegram Przeglądu).

Rzym 29 lipca. Po tajnej kongregacyi kardynałów odbyło się wczoraj przedpołudniem w kaplicy Sykstyńskiej pierwsze z trzech uroczystych nabożeństw za Papieża. Przybyli nań dyplomaci, wielki mistrz zakonu maltańskiego, patrycyat rzymski i goście zaproszeni. Na środku kaplicy wznosił się katafalk z tyarą papieską. Po rogach katafalku umieszczone były napisy łacińskie, wyliczające cnoty zmarłego Papieża.

W kaplicy Juliańskiej kościoła św. Piotra odprawiono wczoraj szóste nabożeństwo za Papieża.

Londyn 29 lipca. Wczoraj przedpołudniem w kościele katolickim, przy licznym udziale publiczności i zastępców ciała dyplomatycznego, odprawiono nabożeństwo żałobne za Papieża.

Rzym 29 lipca. Przybył tu kardynał Vaszary.

Konstantynopol 29 lipca. Wczoraj przedpołudniem odprawiono w tutejszej katedrze katolickiej nabożeństwo za Papieża.

Kolonia 29 lipca. Do *Koeln. Ztg.* donoszą z Berlina: Dzienniki zagraniczne twierdziły kilkakrotnie, że Niemcy chcą użyć swego wpływu, aby przeszkodzić wyborowi kardynała Rampolli na Papieża. W ostatnim czasie także kardynał Nava, arcybiskup Katanii, który zaleca wybór Rampolli, wyraził swe zdziwienie, że Rampollę zwalczają z Berlina, jakkolwiek w Berlinie tak bardzo pochwalano politykę zmarłego Papieża, z którą przecież nierozerwalnie jest połączone nazwisko Rampolli. Przypuszczenia owe pisze *Koeln. Ztg.* — co do zachowania się Niemiec w obec ewentualnego wyboru Rampolli wychodzą z zupełnie fałszywego założenia. Niemcy trwają w silnem postanowieniu nie wywierania żadnego wpływu na niemieckich i innych kardynałów, ani też zwalczania czy popierania żadnego kardynała, a to odnosi się zarówno do kardynała Rampolli, jak do każdego innego kardynała, który występuje jako kandydat do tronu apostolskiego.

Katastrofa na manewrach.

(Telegramy Przeglądu).

Budapeszt 29 lipca. Na wczorajszem posiedzeniu Sejmu węgierskiego wiceprezydent Daniel oznajmił, że posłowie Visontaj i tow. zapisali się do głosu przed przejściem do porządku dziennego w celu omówienia katastrofy podczas manewrów pod Billek. P. Visontaj omawiając wspomnianą katastrofę, żądał od ministra honwedów szczegółowego wyjaśnienia całego zajścia, a zwłaszcza wyjaśnienia, dlaczego mimo upomnień lekarza odbywano ćwiczenia dalej. W razie gdyby minister nie dał odpowiednich wyjaśnień i nie zarządził śledztwa, mówca będzie zmuszony zgłosić w tej sprawie formalny wniosek.

Minister honwedów Kolosvary odpowiedział, że wedle otrzymanych przezeń informacyi, pułk ów wyruszył 20 lipca z Billek do Trebinje, miejscowości odległej o 26 kilometrów. W drodze kilka razy odpoczywano i wojsku pozwolono na wszelkie ulgi w marszu. Zaopatrzono też żołnierzy w wodę. O godz. 1/4 na 10 rano rozpoczęto powrót do Billek. Także podczas powrotu kilka razy odpoczywano. Gdy się zbliżono do wzgórza prowadzącego do Nowego Billeka, temperatura nagle podskoczyła do 40° R. Zarządzono odpoczynek, jednakże ze względu na to, że brakło wody i że miejscowość Billek oddalona była tylko o 2 3 kilom. uważano dalsze odpoczywanie za nieodpowiednie i nakazano dalszy marsz. Podczas ostatniej części marszu zdarzyła się właśnie katastrofa, przyczem 15 osób zginęło na udar słoneczny. Innych chorych odwieziono do szpitala. Po większej części opuścili oni już szpital zdrowi, tylko 7 osób jesze w nim pozostaje. Minister prosi o cierpliwość aż do ukończenia zarządzonego ścisłego śledztwa: jeżeli ono wykaże, że zdarzyły się przytem jakieś nieprawidłowości, to winni będą bezwzględnie ukarani. (Oklaski na prawicy). Wywody ministra przerywała opozyca kilkakrotnie okrzykami.

P. Polonyi odczytał list jednego z żołnierzy tego pułku; żali się on na brutalne obchodzenie się oficerów z żołnierzami. Mówca wnosi, aby na znak żałoby posiedzenie przerwano na 10 minut.

Prezydent gabinetu hr. Khuen zapewnia, że zarząd wojskowy i minister wojny głęboko ubolewają nad tym wypadkiem i że zarządzono ścisłe śledztwo. Do owego listu minister nie może przywiązywać wagi, dopóki go sam nie zobaczy i musi go uważać za zwykły anonim. W sprawie wniosku o przerwanie posiedzenia oświadcza, że to nie jest odpowiedni sposób wyrażania żalu. Żałobę w tej sprawie odczuwają wszyscy bez wyjątku i minister sądzi, że p. Polonyi powinien swój wniosek odpowiednio zmodyfikować.

P. Polonyi wnosi wobec tego, aby żałobę Izby zaznaczono w protokole.

Wniosek ten jednomyślnie przyjęto, poczem na 15 minut przerwano posiedzenie. Po przerwie przemawiali pp. Eötvös i Nessy, którzy oświadczyli, że do śledztwa zarządzonego nie mają zaufania i zarzucali, iż żołnierzy traktuje się gorzej niż konie lub broń.

Na tem posiedzenie zamknięto.

Budapeszt 29 lipca. Dzienniki węgierskie zamieszczają wiele szczegółów o nieszczęsnym owym marszu z Trebinie do Billek, którego ofiarą padło 15 żołnierzy, nie licząc chorych. Szczegóły te przeważnie pochodzą od żołnierzy 12 pp., którzy właśnie marsz ten odbywali. Opowiadają oni, wbrew zapewnieniom ze strony urzędowej, że byli bardzo obładowani, że im nie pozwalano na wytchnienie mimo upału tropikalnego, i że ich odganiano od wody. Gdy pułk 12 wchodził do miasta Billek, kompanię dziewiątą stanowiło już tylko 5 ludzi, z 5-tej pozostał tylko jeden żołnierz. Z kapeli zachowało siedmiu ludzi, kapelmistrz padł na drodze. Również wielu oficerów zemdlało. Kompania druga nie wróciła do miasta, lecz przeczekała na drodze najgorętszą porę dnia.

Co i o czem piszą.

P. Antoni Marylski, jeden z wybitniejszych hodowców w Królestwie polskiem, udał się wraz z innymi delegatami Towarzystwa gospodarskiego do Holandyi po zakupno buhajów i dla obejrzenia obór tamecznych. Z wędrówki tej zdaje w *Kuryerze Warszawskim* następujące nader zajmujące sprawozdanie.

W Berlinie pierwszy etap w pośpiesznym naszym marszu — pisze p. Marylski. Wystarcza jednak nam czasu, żeby doznać wrażenia, że mamy jakiś inny Berlin przed sobą, mniej sztywny, więcej rozkrochmalony. Czy to zasługa przypadkowa kanikuły, czy też zasadnicza zmiana, dość, że rozrastająca się stolica mniej jakoś po prusku wygląda.

Po pięciu latach niewidzenia Berlina spostrzegamy wielki wzrost zbytku w urządzeniach kawiarni, sklepów, w ozdobach domów, a sądząc z ukwieconych balkonów, z gustownej wystawy sztuki stosowanej, zapewne i mieszkań. Wystawa obrazów imponuje ilością, przeważnie zresztą miernot, ale już z samej ilości wnioskować trzeba o budzącem się zamiłowaniu do sztuki berlińczyków.

Przy rozpalonych już światłach elektrycznych w Thiergartenie przechodzimy przez Sieges-Allée, ozdobioną 32 pomnikami strzeżonemi pilnie przez policyę. Marmurowe postaci, którym rozkazano być arcydziełami, wyglądają, jakby zebrane na paradę wojskową i na komendę *Habt Acht* wyciągnięte sztywnie i marsowo dwoma rzędami. Wyjazd jednak z Berlina, posiadającego zawsze cechę pyszałkowatego dorobkowiczowstwa, robi więcej przyjemności niż przyjazd.

Czuje się wdzięczność dla szybkości kuryera, który tak prędko nas unosi z nad Sprewy. Przez całą drogę od granicy Królestwa polskiego, przejeżdżając Odrę, Łabę, Hanower, na chwilę nie możemy zapomnieć o przysłowiu, co mówi o *male parta*. Urodzaje liche: zboża, buraki, kartofle tak nędzne, że, gdyby u nas pola miały podobny wygląd, przejęłoby to nas szczerym smutkiem. Wreszcie pod wieczór w Bremie spotykamy dwóch uczestników wycieczki duńskiej, urządzonej staraniem sekcyi rolnej, przejeżdżamy Wizerę i wjeżdżamy w kraj nowy, dziwny, o stosunkach zupełnie wyodrębnionych, wśród których spędzamy już resztę czasu, przeznaczonego dla naszej podróży.

Olde burg, wschodnia Fryzya i Holandya, mimo granic terytoryalnych, różnic historycznych, a po części etnograficznych, mało się bardzo różnią pod względem gleby, krajobrazu i sposobu gospodarowania. Różnice są i o nich wspomnieć wypadnie, lecz na ogół ludność, która zamieszkuje te wybrzeża morskie, jest przedewszystkiem pasterska. Kto tu przybywa, mając luźne bardzo pojęcia o stosunkach miejscowych, nie może wyjść z podziwu, że w skomplikowanej Europie są rzeczy tak proste, życie takie łatwe, opromienione spokojem, prawie brakiem trosk, że istnieje rolnictwo, nie wymagające żadnej zapobiegliwości, wysiłku i krwawej pracy

Natura dała tym krainom glebę iście egipską, a ludzie potrafili uprościć sobie korzystanie obfite z darów przyrody. Kraj to przedewszystkiem drobnej własności (nasi parcelanci byliby tu bez chleba). Ani w Oldenburgu, ani we Fryzyi niema szlachty, ani większych posiadaczów; dopiero w Holandyi spotykają się wyjątkowo właściciele większych przestrzeni ziemi, które jednak, podzielone przeważnie na 30 do 50-hektarowe kolonje, bywają wypuszczane dzierżawcom. Gdy znajdziemy się na płaszczyźnie tutejszej i rzucimy okiem wokoło siebie, widzimy wśród grup drzew w równomiernych odstępach murowane domy, przystawione do obszernych murowańców, które służą za oborę, stajnię i stodołę. Wszystko pokrywa czerwona lub czarna dachówka. Pola, podzielone na działki rowami, napełnionemi wodą, stanowią naturalne zagrody dla stad pasących się na bujnych pastwiskach. W Oldenburgii i Fryzyi spotykamy uprawę zbóż i bobiku, w Holandyi tylko pastwiska. Z wiosną, w początkach maja, farmer wypędza z obory odpowiednio posegregowane stada na poszczególne działki, zamyka wrotami przegony i

2)

Feljeton literacki.

Ignacy Dąbrowski. *„Chwila była przedwieczorna“* (Wrażenia). Warszawa. Nakład J. Fiszera. 1903.

(Dokończenie).

Kończy się wreszcie nasza podróż konna. Stajemy przed jakimś nędznym szałasem, skleconym z poczerniałych desek.

W jednej chwili jesteśmy otoczeni całą bandą oberwańców, którzy nam na wyścigi ofiarują swoje usługi w dalszej przeprawie. Odmawiamy stanowczo, dobierając jak najenergiczniejszych wyrażeń francuskich, włoskich, wreszcie polskich. Ale! Cała czereda idzie za nami, jakby dogadując: „Mówcie wy sobie swoje, my będziemy robili swoje“. Cóż my na to możemy poradzić? Niech idą.

Przeprawa jednak od razu obiecuje się być uciążliwą.

Zwykłe złudzenie w górach, że w skutek czystości i rozrzedzenia powietrza odległości wydają się mniejszemi, tutaj nie działa zupełnie. Przeciwnie: sinawo-czarny kolor góry i przesycający powietrze dym krateru, oddalają upragniony cel podróży.

— Ależ my tam i do wieczora nie zajdziemy! — jest naszą pierwszą myślą.

Nogi po kostki i wyżej zapadają nam w popiele. Wchodziłem już nieraz na góry, ale żadna wyprawa nie była mi tak nieprzyjemną. Być może, iż na to wrażenie złożyły się moje specyalne wstręty, jakie mam do niektórych rzeczy. Oto wprost nerwowo nie znoszę nawet widoku szyfru i szyfrowych tabliczek. Tymczasem popiół wulkanu sprawia efekt sproszkowanego szyfru. Jest miałki, suchy, ostry i zgrzytliwy. Za każdem stąpnięciem całe jego gromady obsuwają się na dół, więżąc stopy. Gdzieniegdzie trafia się żużel lub wylewy lawy, wyglądające, jak skamieniała czarna piana. Zbocze jest tak strome, że ścieżka idzie zygzakiem. Ani śladu roślinności; wszędzie czarno, czarno, czarno. Martwota taka, że nawet myśl martwieje i nie chce żadną fantazyą opleść tego grobu góry. Nie, nie posadziłbym tu nawet Jeremiasza, tego śpiewaka popiołów: on jeszcze miał tyle nadziei! Chyba kiedyś, kiedyś, po wielu wiekach, po śmierci świata zasiądzie tu nieodgadniony sfinks przeznaczeń i powie w zadumie:

— Skończyło się.

Idziemy a raczej brniemy w zupełnem milczeniu. Ale nie jest to milczenie skupienia, lecz zaniku wrażliwości. Do czego tu przyczepić myśl, kiedy się każda obsunie po tym suchym popiele i zasypie się małym grobem? Czujemy przytem zmęczenie. Wędrowanie w upał po naszym lotnym piasku olkuskim, choćby z zapadaniem po kolana, wydaje nam się teraz szczytem przyjemnej i lekkiej podróży. Chwilami złe postawienie stopy obsuwa nas o parę kroków w dół.

Przystajemy wreszcie na chwilę, żeby wypocząć. Usiąść? nie, burr... na tym popiele! Za nic w świecie!

Ale tego tylko czeka czereda Włochów, idąca za nami. Przecież to ich polityka: umyślnie szli prędko, zagradzając nam od tyłu drogę, żeby nas jak najprędzej znużyć. Dwóch oberwusów odłącza się od gromady, okręcają sobie sznurami ramiona i bez słówka zapytania wsuwają nam w dłonie końce tych sznurów, zaopatrzone w pętlice. Dobrze, niech tam. Ale to już czterech. A tak nas ostrzegano w Bosco Trecase!

Ruszamy wyżej. Iść jest rzeczywiście lżej. Gdyby nie nieprzyjemne uczucie, że to ciągną nas ludzie nie konie, byłoby nawet wcale dobrze. Droga miejscami staje się niebezpieczną. Fałszywy krok w prawo lub w lewo grozi obsunięciem się w dół na sterczące z popiołu ostre żużle. Nie myśli się już o niczem, tylko o tem, gdzie ma się postawić nogę. Chwilami przelotnie czuje się jakby swąd: to zalatuje dym. Na moment odrywamy wzrok od ścieżki i spoglądamy na wulkan. „Ależ my tam do jutra nie zajdziemy! Może dać spokój całej awanturze i wrócić póki dzień do Neapolu“. Naraz czuję, że mię ktoś z początku lekko i ostrożnie, potem coraz silniej podpiera z tyłu rękoma i popycha naprzód. O, znakomicie, lżej. Ale to już sześciu! A w Bosco Trecase...

I znowu idziemy, idziemy, idziemy! I znowu popiół, popiół, popiół. Przypominają się jakuckie bajki długie, monotonne, nudne. Już nie spoglądamy wcale w górę — co to pomoże? Jesteśmy pewni, że chyba nie zajdziemy, ale ciągną nas, popychają, to się idzie. Wreszcie gdzieś iść trzeba, a czy w górę czy na dół, to wszystko jedno: wszędzie jednakowo czarno.

Po jakimś czasie przystanek. Może już? A jakże! To tylko zmiana ludzi. Ci, którzy nas popychali i ciągnęli, usuwają się w tył, a z gromady, która precz idzie za nami, wysuwa się nowych czterech. Jest już nam zupełnie wszystko jedno. Tylko, że to już dziesięciu.

Od czasu do czasu zaczyna nas zalatywać już nie swąd, lecz dym. Coraz więcej czuć siarkę. Kilka razy przewodnik zatrzymuje nas i przechylając ucho, pyta się, czy słyszymy? Ale nie słyszymy nic, domyślamy się tylko po jego ruchach, że to, co mamy słyszeć, ma iść z pod ziemi. Wymija nas jakaś gromada ludzi, schodząca z góry. Automatycznie rachujemy: jest piętnaście osób, a w tem tylko dwóch turystów. No, to nas tylko dwanaścioro. Kłaniamy się sobie i życzymy szczęśliwej drogi.

Nareszcie! Góra urywa nam się nagle i stajemy, jakby na tarasie, otaczającym dokoła ostateczny stożek wulkanu. Nie widzimy jednak nic: wszystko jest zasnute gęstym, białawym dymem, którego wielkie kłęby wiatr co chwila odrywa i niesie to ku nam, to w inne strony na zbocza góry. Rozumiemy tylko, że za chwilę mamy wejść w ten dym i gdzieś iść. Oto jakby na próbę, jak to będzie, pędzi ku nam cały obłok. Sekunda jedna i otacza nas gęsta, nieprzenikniona jakby mgła. Ostry, gryzący odór siarki wyciska nam łzy z oczu i wywołuje raptowne krztuszenie. Lecz oto znowu chwila — i znowu widzę niebo, popiół pod nogami, a z daleka w dole — morze.

Ale widzę także dwóch jakichś obcych ludzi w uniformach. Coś mówią, pokazują jakieś kartki... Co takiego? Są to przewodnicy rządowi, podprowadzający do samego krateru; ściągają zarazem podatek, jaki rząd włoski nakłada na wszystkich zwiedzających Wezuwiusz. Ile? — siedm lirów; tylko? — dlaczego nie więcej? nikt się przecież nie cofnie dla głupich kilku lirów. Płacimy — dostajemy kartki — zapewne na pamiątkę — i ruszamy w czternaście osób. Zawsze choć o jedną mniej, aniżeli tamci...

Biorą nas z dwóch stron pod ręce i każą wyjąć chustki i zasłonić niemi nos i usta. Jesteśmy posłuszni jak dzieci. Prowadzą nas wprost na dym, który się przed nami przewala wielkimi, ciężkimi kłębami. Co tam jest za tym dymem? Gdzie oni mnie prowadzą? Ej, może nie iść?...

— Odetchnąć głęboko! — komenderuje któryś z przewodników.

Oddycham szybko i naraz tracę wszystko z przed oczu. Nie widzę nawet tych ludzi, którzy mnie trzymają pod ręce. To dym.

Ktoś krzyczy: „prędzej!“.

Zaczynamy biedz na oślep, nie widząc chwilami swoich własnych nóg. Pomimo chustki, duszący odór siarki wciska mi się w nos, w usta, w oczy. Nie rozumiem nic, nie oryentuję się nawet, czy bieguiemy pod górę, czy z góry. Czuję tylko, że się krztuszę. Przymykam chwilami oczy, bo zresztą i tak wszystko jedno. Tracę poczucie rzeczywistości i mam wrażenie już nie snu, lecz przykrej, ślepej, dokuczliwej zmory. Białawy dym wydaje mi się jakąś watą, w której tonę. Biegniemy już całym pędem: gdzie?... dokąd?... A, co mnie to obchodzi! byle prędzej!

Cała uwaga skupia się już wreszcie na jednem tylko — odetchnąć. Po prostu duszę się. Wciągam wreszcie w płuca trochę dymu i czuję zawrót głowy. Przez jedną, krótką chwilę przemyka mi się myśl — „po co to wszystko?“

Naraz warstwa dymu przed oczami zaczyna ciemnieć i jakby z po za mgły widzę słońce. Sekunda jeszcze i aaa... można odetchnąć! Powiew wiatru rozerwał dym na dwie fale: jedna ucieka za nami, druga pędzi znowu na nas. Jesteśmy jakby w wąwozie tych fal; nad nami wązki pas błękitnego nieba. Coś ciężko zapada się w popiół o kilka kroków przed nami. Co to? Nic, to kamień z krateru: to tak zawsze wyrzuca. Słyszę przytem jakiś stłumiony łoskot, trzaskanie, jakby turkot mnóstwa dorożek po bruku. Chwila jeszcze i znowu olbrzymi bałwan dymu pokrywa nas, jak grobem. Brudno-mleczne kłęby rozwijają się i zwijają koło nas nakształt wielkich szlimacznic. Siarka wprost dusi. Pomimo chustki, usta, nos, całe płuca mam pełne dymu. Do białych kłębów mieszają się wreszcie kłęby czarne i rude. Jakiś złowrogi odmęt. Chwilami mam wrażenie, że gdzieś spadamy na oślep, w dół. Gdzie my lecimy?... dokąd?... Ależ to jest szaleństwo!

Naraz zatrzymujemy się. Nic nie rozumiem — dlaczego. Słyszę wyraz: cratere.

— Ou est-il donc?

Widzę wyciągniętą rękę, wskazującą kierunak, dalej dym i więcej nic.

zapomina nieraz o swoim dobytku, który sześć okrągłych miesięcy, przy względnie umiarkowanym klimacie, dniem i nocą, bez żadnych szop, pozostaje pod gołem niebem.

Koło Jemer, w Oldenburgii, jeden z kolonistów, Ernst Daun, zawoził nas na pastwisko, gdzie nie był od kilku miesięcy, żeby pokazać byczki i konie, pasące się tam od wiosny bez żadnego nadzoru.

Krowy mleczne dojone są również na pastwiskach dwa razy dziennie, mleko zlewane do bań, które się ustawia nad drogą publiczną. Wózki mleczarni spółkowej objeżdżają drogi, brukowane klinkierem, i zabierają banie, które ani giną ani nie bywają uszkadzane.

Nieboszczyk pan Podbipięta, gdy dosiadał swej inflanckiej kobyły wszędzie dotarł i niejedno widział; my zaś, wprawdzie nie dosiadając krówek, lecz je mając na ustach, wszędzie mile i gościnnie byliśmy witani i ugaszczani. Przejeżdżając końmi od farmy do farmy, używając kolei tylko dla przejazdu z prowincyi do prowincyi, przyjrzeć się mogliśmy ludziom, zajrzeć do wnętrza ich domów i poznać ich życie. W taki sposób zwiedziliśmy Wilhemshafen, Jemer, Norden, Emden, Leer w Niemczech, okolice Leenwarden, Amsterdam w Holandyi; pozostaje nam jeszcze zapoznać się z okolicą Roterdamu i Dortrechtu. W Holandyi pozostał system gospodarstwa, któr, wycisnął swoje piętno na Wschodniej Fryzyi i Oldenburgu. W ojczyźnie więc swojej ta kultura wygląda najpierwiastkowiej, najoryginalniej, najbardziej swojsko i pociągająco.

Do nazwiska Irlandyi przywiązane jest określenie: zielona; również zieloną jest Holandya ze swemi szmaragdowemi pastwiskami.

Zielone łąki, na których się pasą wspaniałe, czarno-srokate, rzadko czerwone krowy, gromady baranów i owiec, stadka kur połyskujących w trawach purpurą swoich grzebieni, czarne kosy, sine czaple drzemiące nad rowami, maszty i żagle, szare lub czarne, łodzi płynących po wzniesionych wodach kanałów, strzeliste wiatraki o szerokich lotnych skrzydłach, to wszystko, razem wzięte, stwarza krajobraz odrębny, nie podobny do tego wszystkiego, co się u siebie, lub w innych krajach widziało.

Lecz teraz niech czytelnik na chwilę zechce nam towarzyszyć w jednej z licznych wycieczek.

Jesteśmy przed domem farmera, posiadającego około 80 morgów ziemi. Przy drodze ogródek ze ślicznym kwietnikiem, zasłanym różami, pelargonją, koleusami, ze ścieżkami wysypanemi żwirem. Dom z cegły sinej lub czerwonej, przestronny, przypominający najwytworniejsze wille podmiejskie, o ogromnych szybach, lśniących od czystości, opatrzonych żaluzjami, firankami i storami. Powóz nasz przejeżdża mostek, ozdobiony kosztowną balustradą, rzucony przez rów przydrożny.

Po chwili zjawia się gospodarz, dwa palce przytyka od niechcenia do czoła, zazwyczaj mężczyzna rosły, w drewnianych sabotach, o rysach nieharmonijnych, jakby miał każdą część twarzy zapożyczoną od osobnika innego typu. Jan Steen, Teniers, van Ostade oddali tę brzydotę realistycznie i prawdziwie. Pokazuje swe stado. Zaprasza następnie do domu. Pokoje wyłożone kaflami lub majoliką, na podłodze dywany, przy ścianach kosztowne sprzęty. Ale to zimowe mieszkanie. W lecie krowy są na pastwisku, więc obora przerobiona na letnie mieszkanie. Od koryt wzniesiona ściana drewniana, malowana na olejno, rynsztoki i chodniki wyłożone ceratą. Nikt się nie domyśli, że tu stały krowy. Gospodyni, zawsze brzydka, z pończochą rozpoczętą w ręku, córka, dziedzicząca piękność po matce, również z pończochą rozpoczętą w ręku; wszyscy gościnni, zapraszają, częstują winem i cygarem.

Nie widziałem pięknej kobiety w Holandyi.

Natura wysila się w jednym kierunku na piękne krowy. Patrząc na gospodarza nie można pojąć, skąd się wziął „Latający Holender".

Nim straż zagrała w turzy róg, o gościach śpie- [wający,
W tęsknocie kląkł u Senty nóg Holender latający.

Jak on to zrobił ten gruby pan, taki ciężki, taki twardy, zrozumieć trudno.

W domu, oborze, kuchni — gaz; przed domem zbiornik, w który rurą, zapuszczoną na 100 stóp w ziemię, nagromadza się gaz naturalny, w jaki opatruje Holendra podglebie jego ziemi.

Żegnamy się, znów dwa palce gospodarz przytyka od niechcenia do czoła i jedziemy dalej, żeby widzieć jeszcze dom wytworniejszy, piękniejsze krowy i jeszcze brzydsze Holenderki, robiące pończochy.

Woźnica, który nas wiezie, pali cygaro, prosi o przysłanie pocztówek, które zbiera. Kelner, który usługuje przy obiedzie, nie lubi wypuszczać cygara z ust; brukarze, układający klinkier, przyjechali do swego zajęcia na rowerach....

Ale już trzeba tu kropki postawić, bo zestawione nieprawdopodobieństwa zaczynają przypominać Maeterlincka.

Farmer tutejszy ma wogóle tak niewiele do roboty przy tym pastwiskowym systemie gospodarowania, że trzeba być z całem uznaniem dla żywotności tego narodu, że się nie rozpróżniaczył, że zachował spokój, cnoty obywatelskie i zapasy energii zdobywczej. Na całej przestrzeni kraju od Wizery do Zelandyi toczy się zapamiętała walka od wieków z morzem i co rok mniejsze lub większe przestrzenie ten uprzywilejowany naród wydziera wodzie. Gdy w innych stronach morze namula piasek, tutaj wyrzuca ziemię egipską. W miarę osadzania się namułu sypią się tamy, pompy wylewają wodę i mieszkaniec posuwa swe brzegi coraz dalej. W tej chwili w Holandyi istnieje zamiar zdobycia całego „*Ziuder Zee*" przez nasypanie grobli między Ewykslins a Piaamen. Koszt obliczają na 200 milionów florenów. Projektowany „polder", czyli grunt wydarty morzu, ma mieć 365.000 hektarów. Zdarza się jednak, że morze bierze swój odwet, rozrywa groble i zatapia poldery. Ale tem się tutejszy mieszkaniec nie zniechęca i, jak nasz rolnik, gdy mu

Zbił grad na łanie całą żniw nadzieję,
Nie ma i kłosa na wieniec żniwiarzy.
Cóż czyni rolnik?—na nowo znów sieje,
I znów lepszą przyszłość marzy.

Zanim, powróciwszy do domu, zreasumujemy korzyści, jakie odnieśliśmy, jako rolnicy z tej wycieczki, dziś możemy powiedzieć, że choć hodowla nasza jest w zarodku, nie mniej znajduje się na dobrej drodze. Byle nam starczyło wytrwałości, dorównać będziemy mogli Holendrom. Niedawne to czasy, gdy Amerykanie rozpoczęli hodowlę bydła holenderskiego u siebie, a dziś, jak sami Holendrzy przyznają, prześcignęli ich i zostawili daleko w tyle.

Sytuacya.

Telegram doniósł wczoraj, że prezydent gabinetu dr. Koerber i minister skarbu Boehm-Bawerk byli wczoraj na audyencyi u Cesarza. Obecnie donoszą, że w tych dniach pojadą do Ischlu także szef gabinetu węgierskiego i węgierscy ministrowie skarbu i handlu. Te konferencye ministeryalne w Ischlu, przerywające odpoczynek wakacyjny Cesarza, są w związku z nowym zatargiem między obu połowami monarchii, który się wyłonił z kwestyi cukrowej. Jak wiadomo, konferencya brukselska nie przystała na ustawę kontyngentową, na którą zgodziły się rządy, austryacki i węgierski, a którą parlament austryacki już uchwalił. Owóż rząd austryacki chce zastąpić tę ustawę rozporządzeniem na podstawie §. 14, któreby zniosło kontyngent, ale przytem ile możności chroniło interesa austryackich producentów cukru, zaś ochronę przemysłu węgierskiego chce pozostawić rządowi węgierskiemu. Tymczasem rząd węgierski zakłada swoje *veto*. Powiada on, że rząd austryacki nie może w kwestyi tej postępować samoistnie, lecz tylko w porozumieniu z rządem węgierskim. Wydanie rozporządzenia cesarskiego na mocy §. 14 uważałby rząd węgierski za złamanie umowy ze strony Austryi.

Opowiadają też, że istnieje zamiar zwołania obecnie dla sprawy cukrowej austryackiej Rady państwa. Może pogłoska ta powstała stąd, że w sobotę przyjechał niespodzianie do Wiednia prezydent Izby hr. Vetter.

Oprócz sprawy cukrowej przedmiotem narad w Ischlu miała być także kwestya zwołania sejmów w krajach, nawiedzonych klęską powodzi. Jak donosi jeden z dzienników wiedeńskich, postanowiono nie zwoływać sejmów, a natomiast wyznaczyć ze skarbu państwa znaczne zapomogi.

Do Ischlu przybył wczoraj także minister wojny Pitreich, — prawdopodobnie więc i kwestya żądań Węgrów co do armii będzie przedmiotem konferencyi ministeryalnych po przybyciu ministrów węgierskich.

Wogóle sytuacya stała się obecnie nader zawikłana. Punkty sporne ciągle się mnożą między obiema połowami monarchii, parlamenty są unieruchomione, czas nagli, a o wyjście z tego chaosu coraz trudniej.

O stylu urzędowym.

Epoka centralizmu, która na wszystkich polach życia narodowego w Galicyi wywarła tak fatalne skutki, zaszkodziła także ogromnie rozwojowi języka polskiego przez bezwzględną germanizacyę urzędów i szkół, a jakkolwiek zgubny ten system już od dość dawna ustąpił, to następstwa jego jednak ciągle jeszcze odczuwać się dają w zeszpeceniu i skażeniu polskiego stylu urzędowego i wogóle stylu polskiego, używanego w Galicyi. Wskazywano na to już niejednokrotnie; świeżo uczynił to dr. Julian M o r e l o w s k i, który odczyt swój o tej kwe styi, wygłoszony w bieżącym roku w krakowskiem Towarzystwie prawniczem i ekonomicznem, wydał obecnie w osobnej rozprawie pt. „O stylu urzędowym i terminologii prawniczej". Rozprawa ta zawiera wiele trafnych uwag, oraz liczne przykłady błędnych i brzydkich zwrotów językowych i zasługuje przeto na baczną uwagę.

Na wstępie autor cytuje piękne zdanie prof. Stanisława Tarnowskiego, że mowa nietylko jest formą myśli, ale może mieć na nią wpływ taki, jaki ma u ludzi organizm fizyczny na umysł i duszę. Mowa jasna, czysta, prosta, jędrna, szlachetna, nietylko jest obrazem takiejże myśli, ale i środkiem, iżby myśl zachowała te przymioty. Nie godzi się zaniedbywać poprawności i jasności mowy pod klątwą przeniewierzenia się przeznaczeniu mowy wogóle, a duchowi narodowemu w szczególności.

Tymczasem to zaniedbywanie mowy jest u nas w Galicyi nadzwyczaj rozpowszechnione. Ubolewał nad tem już w r. 1870 Józef Kremer, podnosząc przytem, że mniejszem złem jest wkradanie się do mowy polskiej wyrazów obcych, aniżeli to, że budowa zdań, szyk, zwroty i sposoby mówienia wypaczają się na obcą modłę, i w ten sposób nawet u ludzi, których główném powołaniem jest piśmiennictwo, zatraca się poczucie językowe.

Jedną z przyczyn tego ogólnego skażenia mowy polskiej upatruje p. Morelowski w niedostatecznem przygotowaniu młodzieży w szkołach średnich w zakresie gramatyki i stylu polskiego i na dowód tego przytacza fakt, że nieraz w elaboratach, napisanych przez młodych prawników, znajdował rażące błędy ortograficzne, nie mówiąc już o wadach stylu. Mówiąc o nauce języka polskiego w szkołach średnich, podnosi między innemi, że byłoby pożądanem, ażeby podręcznik gramatyki polskiej przytaczał przykłady do prawideł gramatycznych nietylko dodatnie, ale i ujemne, któreby wskazywały, czego unikać należy.

W dalszym ciągu zwraca autor uwagę na to, że na ogół biorąc daleko lepiej u nas mówi się, niż pisze, zwłaszcza po urzędach; radzi więc, aby w stylu urzędowym, przeładowanym zwykle długimi okresami, trzymano się przynajmniej zasad stylu, przestrzeganych w mowie potocznej.

Wprost nie do uwierzenia jest, jakie dziwolągi językowe autor znajdował w pismach urzędowych. Przytacza on np. z wyroków:

„Inne ustępy wyroku pozostają *w nienaruszeniu*".

Z aktu notaryalnego:

„Akt niniejszy mając sobie zeznający wobec znających ich i mnie znanych świadków aktu i tożsamości .... odczytany, takowy za z odny ze swą wolą uznali i przyjęli".

Z uchwał sądowych:

„Honoraryum wraz z obecnie za niniejsze podanie przyznającą się należytością w kwocie.-." —

„z powodu w międzyczasie następionego spłacenia..."

„Uwalnia się N. N. z pod oskarżenia przy odesłaniu poszkodowanego z jego odszkodowaniem..."

Jeden z sądów powiatowych w zachodniej Galicyi dołączył do wyroku, skazującego kogoś za przekroczenie, następujące motywa:

„Na podstawie zeznań strony interesowanej prywatnej i zarazem świadka Antoniego, który zeznał, że w nocy w towarzystwie Bartłomieja zaczepionym został przez obwinionego, który domagając się oddania kapelusza, uderzył go w twarz, mimo, że mówił obwinionemu „masz przecie kapelusz na głowie, czego chcesz", że następnie, gdy nadszedł Bartłomiej, który na chwilę oddalił się (dla załatwienia pewnego interesu), uderzył go obwiniony w obecności tegoż w piersi prawdopodobnie nożem, którym go wprawdzie nie uszkodził, tylko przeciął mu dwa razy bluzkę, że udał się za obwinionym Bartłomiejem w stronę ku Czesławowi, a wtedy dwaj chłopcy nieznani podali mu jego czapkę, która spadła mu z głowy wskutek uderzenia w twarz przez obwinionego i jakiś kapelusz, który gdy się przekonał, że nie jest własnością Bartłomieja tylko obwinionego, temuż w obecności Damazego oddał, na podstawie zeznań Bartłomieja, który potwierdził w zupełności zeznania poszkodowanego Antoniego z tem, że widział bluzkę tegoż przeciętą dwa razy na piersiach, wreszcie na podstawie zeznań świadka Damazego, który zeznał, że w dniu zajścia przyszedł do niego obwiniony do Czesława i opowiadał, że mu dwaj panowie skradli kapelusz, że wyszedłszy na ulice spotkał Antoniego i Bartłomieja, którzy opowiedzieli mu o wypadku z oskarżonym, a w szczególności, że zostali przez niego zaczepieni, że obwiniony pchnął w piersi poszkodowanego i przeciął mu bluzę, którą oglądał i widział przecięcia prawdopodobnie nożem spowodowane, że poszkodowany miał w ręku kapelusz, który miał znaleść, a który wydał oskarżonemu, gdy tenże poznał w nim swą własność, że znalazł przy obwinionym nóż złożony w bucie, wreszcie na podstawie przyznania obwinionego, że będąc pijanym, go, pchnął nożem poszkodowanego Antoniego dlatego, ponieważ tenże, gdy obwiniony upominał się o kapelusz, odrzekł „chodź ja ci tu dam kapelusz" z tem, że świadkowie nie twierdzili wcale, by obwiniony był napitym, — przyjął Sąd istotę przedmiotową przekroczenia z § . . . za udowodnioną i nabrał przekonania o winie oskarżonego".

Strach wobec tego pomyśleć, jakieby autor tych motywów sfabrykował zdanie, gdyby miał do czynienia z procesem, w którymby zeznawało kilkudziesięciu świadków; widocznie bowiem postanowił on sobie zawsze cały materyał postępowania dowodowego pomieścić koniecznie w jednem zdaniu. Budowanie takich kolosalnie długich okresów wytłumaczyć się da jedynie przez naśladownictwo stylu urzędowego niemieckiego, ale Niemcy sami utyskują na swój styl urzędowy i nazywają go potwornem i niezrozumiałem bredzeniem, w którem, jak powiada Max Garr „wszystkie złe nawyczki i chropowatości, wszystkie dysonanse i dziwolągi, do których język niemiecki jest zdolny, urządziły sobie schadzkę iście babilońską". Inny zaś Niemiec powiada, że w wyrokach sądowych niemieckich „zdania są długie jak tasiemce, upstrzone we wszelkie możliwe finty gramatyczne, takie, które wymyślił chyba jakiś przebiegły profesor filozofii, biedzący się nad trudnem tłómaczeniem". Wiadomo zresztą, że prezydent ministrów dr. Koerber, jako kierownik ministeryum sprawiedliwości, wydał osobne rozporządzenie, w którem zaleca sądom styl jasny, stanowczy i łatwo zrozumiały. A nasi urzędnicy z zapałem naśladują to, co sami Niemcy u siebie potępiają.

Kazimierz Brodziński w „Nauce o stylu" pisze, że w stylu urzędowym Polacy wyżej stoją od Niemców, mając na myśli stosunki w dawnej Rzeczypospolitej. „Prócz sądownictwa dawniejszego — powiada on — wszystkie urzędowe pisma miały u nas cechę jasności „czystości języka i męskiej powagi. Później przez bliższe stosunki z Niemcami styl nasz urzędowy nabył rozwlekłości, suchości form i często zawikłania".

Szkodliwy wpływ niemczyzny wynika u nas w Galicyi nietylko z naśladowania niemieckich pism urzędowych, ale także skutkiem lichych przekładów niemieckich książek prawniczych, a co gorsza i książek szkolnych. Owóż mógłby ktoś zarzucić, że zło tkwi już w tem, iż musimy używać przekładów, bo przekład taki musi z konieczności być ciężkim i pod względem stylu niepolskim. Zarzut ten p. Morelowski zbija. Język polski — powiada on — ma tę zaletę, że można się nim wyrazić nawet jaśniej, niż w niemieckim, ale trzeba wpierw poznać i zasady i skarby naszego języka. W tej mierze zwraca autor uwagę na rozprawę dra Oettingera p. t. „Niektóre ważniejsze właściwości polszczyzny w porównaniu z mową niemiecką, objaśnione przykładami, powziętymi z piśmiennictwa lekarskiego, tudzież kilka wskazówek do unikania germanizmów". Oettinger powiada, że potęga języka niemieckiego tkwi w rzeczowniku a polskiego w czasowniku, dlatego w tłómaczeniach z niemieckiego należy konstrukcyę rzeczownikową zamieniać o ile tylko można na czasownikową. Przytaczamy za p. Morelowskim najważniejsze ustępy z rozprawy dra Oettingera. Pisze on:

Cechą właściwą, znamionującą ducha języka niemieckiego jest wyjawianie głównie pojęć pośrednich, umysłowych, oderwanych, — cechą zaś mowy polskiej określanie wrażeń bezpośrednich, rzeczywistych. Skłonność Niemców do pojmowania wszystkiego w duchowem niejako oderwaniu odbija się przewagą i siłą, nadaną rzeczownikowi. Jakoż panuje on szeroko w języku niemieckim, służąc nietylko do oznaczenia przedmiotów zmysłowych, ale i do oznaczenia wszystkich stosunków rzeczy, ich przymiotów, zmian itd. Niemiec lubi również przymiotniki zastępować rzeczownikami. W szerszym jeszcze zakresie służą rzeczowniki do wyrażania czynności, ruchu, zgoła tych pojęć, do uwydatnienia których służą w polskim języku czasowniki same, np. in Angriff nehmen (rozpoczynać), in Vollzug setzen (wykonywać), in Anwendung bringen (zastosować) itp.

Drugą cechą języka niemieckiego jest używanie przedimka i oznaczanie spadkowaniem jego owych stosunków, które w języku łacińskim i polskim wyrażają się bez pomocy przedimka końcówkami spadkowemi samych rzeczowników. Ta nieruchomość samych rzeczowników, a odmiana jedynie przedimków, utrudnia swobodę szyku w języku niemieckim. Łatwość tworzenia i składania rzeczowników rodzi nietylko ich obfitą mnogość, ale jeszcze zbogaca mowę niezliczonymi rzeczownikami złożonymi, zdolnymi wyrazić jednem słowem nader zawiłe i drobne odcienia myśli. Siła mowy niemieckiej tkwi w piętnie spokojnej rozwagi, głębokości myśli, ścisłego loicznego układu, ale te zalety opłaca pewną stężałą nieruchomością, mniejszą żywością i brakiem tego uroczego wdzięku, jaki zwykł towarzyszyć swobodzie.

Mowa polska chwyta wrażenia bezpośrednio, tak jak na zmysły działają; odbija ona przedmioty i stosunki w ich przyrodzonych barwach. Ta żywa wrażliwość ducha uwydatnia się przewagą i panowaniem czasownika. W tej części mowy tętni gra życia, niezrównana potęga i cały wdzięk języka polskiego. Bogactwem form i odmian, dosadnością i jędrnością pozostawia on daleko za sobą narzecza romańskie i germańskie. Jak niemczyzna ma łatwość w składaniu rzeczowników, tak polszczyzna celuje znowu w tworzeniu czasowników złożonych. Plastyczna wyrazistość wychodzi na jaw i w innych częściach mowy i ich gramatycznych odmianach. — Jedną z najpiękniejszych zalet naszej mowy jest zupełna swoboda szyku. Z jej pomocą można uwzględniać dowolnie jasność i dosadność bez narażenia wdzięku, unikać ciężkich zawiłych określeń. To, co Mommsen o pierwszeństwie języków klasycznych przed niemczyzną powiada, stosuje się jeszcze w wyższym stopniu do polszczyzny.

Z powyższych uwag wysnuwa Dr. Oettinger takie zasady:

„Ogólną cechą mowy polskiej jest plastyczność wyrażenia. Dosadność wyrażenia opierać należy raczej na czasowniku, a mniej na rzeczowniku. Używanie tego ostatniego ograniczyć, o ile być może, do oznaczenia rzeczy zmysłowych. W ogóle nie wypada sadzić się na oddawanie koniecznie po polsku rzeczownikiem wszystkiego, co się w niemieckim za pomocą tej części mowy oznacza. Wystrzegać się należy przymiotników powstałych z rzeczowników. Starać się należy głównie o tok wyrażenia żywy, rzeczywisty, zgoła czasownikowy. Rzeczowników nie należy składać na sposób niemiecki, zwłaszcza za pomocą połączenia z sobą dwóch wyrazów".

A dalej robi dr. Oettinger taką uwagę:

Wrażliwa przyroda umysłu polskiego nie znosi długiego zniecierpliwienia, lubi ona docierać raźnie do celu. Dlatego i w okresach złożonych a obszernie rozwiniętych nie należy w polszczyźnie myśli głównej aż na koniec dopiero odkładać, wyczerpawszy wprzódy wszystkie określenia uboczne, lecz tak korzystać ze swobody, aby bez wikłania nici przewodniej nie odstępować zbytecznie od szyku prostego.

W drugiej części broszurki swej p. Morelowski omawia specyalnie słownictwo prawnicze. Pod tym względem stosunki w czasach od zaprowadzenia ery konstytucyjnej znacznie się poprawiły, głównie skutkiem wydania nowej edycyi słownika prawniczego „Towarzystwa naukowego krakowskiego" w r. 1874. Dzieło to jednak obecnie już nie wystarcza, ale zasługą jego jest, że wyrugowało mnóstwo takich wyrazów z polskiego języka, jak „forsztelować, to nie szlusuje, fasować, forszusować, pixmacher, uszparować" i t. d. Skobel w broszurze swej „O skażeniu języka polskiego" przytacza takie zdanie z wyroku sądowego z r. 1859: „C. k. urząd powiatowy jako Sąd, siłą jemu od Jego c. k. Apostolskiego Majestatu użyczonego gwałtu urzędowego, uznał za prawo . . . ."

Autor omawia następnie przekłady polskie ustaw austryackich, wytykając w nich niektóre usterki i niewłaściwości. Niektórzy tłómacze unikając germanizmów, posuwają się znowu za daleko w kierunku puryzmu i nowotworów językowych. Tak np. Cukrowicz, który przetłómaczył procedurę karną polszczyzną bardzo dobrą, używa jednak takich wyrażeń dziwacznych i niezrozumiałych, jak: sądztwo, spostrzeżyny, oskarżeniec, karaniec, pierwotnik, mierzydło, oprzysiądz, uprawiedzić, zaszłościowy, wygotów, powołyn".

W dalszym ciągu przytacza autor długi szereg błędnych zwrotów i wyrażeń, bądź przez niego samego zebranych, bądź wytkniętych przez innych autorów. Oto ważniejsze z nich:

„Owym osobom przynależne dobro nieruchome" zamiast „do owych osób należące."

„Spory mogą być podane" — zam. „wytoczone."

„gdy skarga wzajemna idzie na ustalenie prawa", — zamiast gdy celem skargi wzaj. jest ustalenie prawa, albo: skarga wzaj. dąży do ustalenia prawa.

„chętni najmu," — zamiast „mający chęć najmu."

„w trakcie" procesu, — zamiast „w ciągu procesu."

„O ile im wespół stawająca strona nie zaprzeczyła" — zam. „o ile ich strona z pełnomocnikiem stawająca nie odwołała".

„Koszta spowodowane czynnościami sądowemi, które obiedwie strony spólnie spowodowały" — zam. „koszta zrządzone czynnościami sądowemi, do których obie strony powód dały" lub „które przez obie strony łącznie wywołane zostały".

„Strona była „w możności" z tem, co sądowi przedłożyła, wcześniej wystąpić" — zam. „strona mogła je wcześniej przytoczyć".

Jeśli „miały miejsce sprawy wypadkowe, które jednej stronie narobiły koszta" — zam. „jeśli zaszły zdarzenia wypadkowe, które jednej stronie przysporzyły kosztów".

„Przeciwnikowi strony ubogiej nałożono koszta do zwrotu" — zam. „na przeciwnika nałożono obowiązek zwrotu kosztów".

„Narobi kosztów" — zam. „połączone będzie z kosztami".

„Fakta, na które strona ma być słuchaną" — zam. „co do których".

„Na okoliczności ma zeznawać" — zam. „o okolicznościach".

„Pod przysięgą zatwierdzić" — zam. „przysięgą stwierdzić".

„Od wyroków Sądów apelac. ma miejsce rewizya" — zam. „przeciw wyrokom „jest dopuszczalną" rewizya".

„W odniesieniu do sporu prawnego" — zam. „ze względu na spór".

„Może powód wnieść na wydanie nakazu płatniczego" — zam. „uczynić wniosek o wydanie nakazu zapłaty".

Wreszcie zachęca autor prawników i filozofów do pracy nad czystością i pięknością polskiego stylu urzędowego przypominając na zakończenie słowa, jakie wypowiedział Sienkiewicz o mowie polskiej, mianowicie, że jest „niespożyta jak spiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych na świecie, tak piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać." Obowiązkiem każdego Polaka jest utrzymać tę mowę czystą i nieskażoną.

KRONIKA.

Lwów 29 lipca.

X. metropolita Szeptycki wyjechał wczoraj wieczorem na trzytygodniowy pobyt do Uniowa i wróci do Lwowa 17 sierpnia.

Mianowania. Minister skarbu zamianował głównego kontrolera podatkowego Wincentego Juściewicza głównym poborcą podatkowym, a poborców: Maksymiliana Heydę i Michała Świtarskiego, głównymi kontrolerami podatkowymi w obrębie lwowskiej dyrekcyi skarbu. — Wydział krajowy zamianował p. Zygmunta Antoniego Geberta prowizorycznym inżynierem adjunktem w oddziale techniczno-drogowym.

Pożyczka przemysłowa. Wydział krajowy udzielił ze stałego funduszu przemysłowego krajowemu Związkowi przemysłowemu pożyczki w kwocie 10.000 kor. na zorganizowanie handlu wyro-

---

Ale już rozumiem, że jesteśmy nad samym kraterem. W tym dymnym chaosie, jaki nas otacza, rozróżniam przynajmniej stronę, z której się ten dym wydobywa. Gęste, zielonawe i rude kłęby buchają w górę, przelewają swe cielska jedne przez drugie, duszą się, kotłują, przewalają, miażdżąc swoje kosmate łby. Jakiś miedziany blask oblewa to kłębowisko brudnem światłem.

Naraz silniejszy podmuch wiatru poderwał dymy od spodu, zgarnął, zbił w jeden wielki szmat i podniósł w górę. W jednej chwili, odruchowo, wszyscy, jakeśmy stali rzędem, cofnęliśmy się krok wstecz.

Tuż u naszych stóp rozwarła nam się olbrzymia czeluść, głęboka i czarna. Góra jakby się zapadła w tem miejscu, tworząc lejkowate zagłębienie, wielkości całego placu. Zakopcone zbocza spadają tak stromo w głąb, że kamienie i żużle, potrącone nogą staczają się od razu w dół. Na dnie, ze środka, jak z nabuzowanego pieca, wali w górę dym koziołkującymi ciągle kłębami. Napływ jego jest tak silny, że samego otworu, z którego wybucha, gardzieli krateru nie widać wcale.

Jeden z przewodników podaje mi kamień i objaśnia, że mam go rzucić w krater. Rzucam. W jednej chwili, tuż z pod mych nóg wystrzela sto piorunów. Łoskot tak straszny, że odrazu jestem ogłuszony. Po pewnym czasie dopiero słyszę dalszą kanonadę, złożoną z huku, syku, jakiegoś trzasku, łomotania, dyabelskiego chichotu. I jest w tem to okropne, że słyszy się ten huragan huku, nie jak zwykle rozpostarty na całą przestrzeń nieba, lecz jakby uwięzły w ziemi, przytłoczony górą. Zdaje się, że lada chwila cały wulkan rozpęknie się w kawały i poleci w powietrze. Ma się wrażenie, że coś się wściekło w środku ziemi, wyprawia tam harce, pręży się, strzela gromami i dusząc się w zapartej otchłani, chce gwałtem wylecieć w górę wązką gardzielą krateru, tuż przed moją twarzą.

Teraz dopiero w całej zupełności przeniknęło mnie zrozumienie, że przecie stoję na wulkanie — na samiuteńkim wulkanie!

I dziwna rzecz; obawa, strach, nie imają się człowieka; istota ludzka czuje się taką małą, nędzną, bezsilną, taką maleńką kruszyną wobec tej złowrogiej potęgi żywiołów, że ma się ochotę już tylko przymknąć oczy i powiedzieć: „a niech się już dzieje co chce".

Naraz przewodnicy, wskazując przed siebie rękoma, zaczynają krzyczeć jak opętani:

— La gorge! la gorge! Voyez la gorge!... na... na... naa... hoo... ρ... o!...

Oto fala dymu przerwała się na chwilę i odsłonił się sam otwór krateru. Co to jest? — Piekło! Wązka czeluść, rozpalona do czerwoności, spadająca już gdzieś wprost do rozbuzowanej otchłani. Wulkan tędy swojem krwawem ślepiem wyziera na świat i patrzy, patrzy okropnie. Chce się rozpostrzeć ręce i krzyczeć: „Jezus, Marya! ziemia się pali!" Bo tak — tu się pali ziemia, pali się góra.

I straszna ta gardziel dyszy zarzewiem, charczy zbielałą lawą, zieje przeraźliwym spokojem głupiego zwierzęcia. Zdaje się, że jakaś mistyczna moc zagłady, potężna, jak sam Bóg, a zła jak szatan, wyszczerza tu zęby i naigrawa się.

I ogarnia człowieka lęk — żywiołowy, paniczny, nie do pokonania — taki sam, jak w snach dziecięcych, kiedy straszydło z bajki wyciągało za nami swoje długie ręce, a my skuleni i odrętwiali, trzęsąc się febrycznie, krzyczeliśmy tylko: „Boję się, boję się, boję się!".

* * *

Po półgodzinnym pobycie nad kraterem, usmoleni, na pół uwędzeni dymem, ruszyliśmy z powrotem. Z uczuciem wprost ulgi powitaliśmy znowu słońce, niebo i świeże powietrze. Dłuższą chwilę zatrzymaliśmy się na krawędzi górnego stożka wulkanu, rozkoszując płuca rzeźwym wiatrem, jaki szedł od zatoki, a oczy — widokiem na Kampanię i na morze, rozciągnięte olbrzymim półkręgiem.

Nim jednak ruszyliśmy dalej, czekał nas rozrachunek z przewodnikami, przybranymi po drodze. Ale na tę operacyę obdzierania ludzi żywcem ze skóry wolę rzucić zasłonę. Zresztą, to są bardzo biedni ludzie.

Droga powrotna po stokach niezmiernie łatwa: z górki na pazurki po popiele, jak za lat dziecięcych po piasku. Hop... hop... i jesteśmy o kilkadziesiąt metrów niżej. Mały przystanek, żeby wytrząsnąć popiół z obuwia i z ubrania i znowu — hop... hop... hop... — co to? jakiś szałas, konie... czyje to? A nasze. Jakto? A tak; przestrzeń, na której przebycie pod górę straciliśmy koło godziny czasu, zajęła nam teraz zaledwie parę minut.

Dalsza droga konno i powozem poszła także znacznie prędzej. Śpieszyliśmy się przytem, żeby trafić na ostatni pociąg, odchodzący do Neapolu.

Zjeżdżaliśmy teraz, mając ciągle morze przed sobą. Zbliżał się zachód. Słońce zrobiło się czerwone i rzuciło na fale zatoki lśniący złotoróżowy szlak, łącząc świetlanym gościńcem podnóża góry z odległą Ischią. Sorrento, Capri, Pozzuoli i sama Ischia grały wszystkimi tonami fioletu, płonąc purpurą na wierzchu. Koło Neapolu mnóstwo białych łodzi rozproszyło się po morzu, kołysząc się na falach. Szedł wieczór cichy, ciepły, upajający.

W Bosco-Trecase, gdzieśmy się przesiedli do wygodnego powozu, zastał nas zmierzch. Droga do Annuziaty, przedtem bezludna i smutna, teraz ożywiła się wieśniakami, idącymi to pojedynczo, to w grupach. Wracali z winnic po ciężkiej pracy z motykami, gracami lub z koszami na głowach. Powietrze wypełniło się zapachem oleandrowych kwiatów i odurzało jak narkotyk. Po krzakach i ciemnych załamach muru uwijało się wielkie mnóstwo świętojańskich robaczków. Na niebie zaczęły się pokazywać pierwsze gwiazdy. Nagle z grupy wieśniaków, idących daleko jeszcze przed nami doleciał nas silny, prosty, ale czyscy śpiew męski:

„O Lola bianca come fior di spino..."

Dalsze tony, niższe, zagłuszył turkot kół powozu.

„...grazzia piu bella a Dio..." usłyszeliśmy wyraźnie, wymijając śpiewaka. I znowu głos jego stłumiły koła, tylko oddzielne tony dobiegały do nas z coraz dalszej odległości za nami. Na ciemnem tle nieba zaczęły się ukazywać sylwetki palm; byliśmy już pod miastem.

„...vado in paradiso" doleciał nas jeszcze wysoki, wytężony głos, jak dalekie echo.

Po chwili zaczęły migać, rażąc nas w oczy, światła latarni Torre-Annunziaty i po pół godzinnej jeździe koleją, stanęliśmy późnym już wieczorem w Neapolu.

bów tkackich i założenie szkoły tkackiej w Wilamowicach.

Konkurs celem obsadzenia posady prymaryusza oddziału chirurgicznego w szpitalu św. Łazarza w Krakowie z płacą 2.400 kor. rocznie rozpisuje Wydział krajowy z terminem do 31 sierpnia rb.

Zapasy damskie w Colosseum potrwają jeszcze tylko 3 dni, w których rozstrzygnąć się musi zwycięstwo i nagroda. Dotychczas prym wodzą panie Ancelet z Bordeaux, Daubigny z Paryża i Hanlon z Berlina. W ogóle powiedzieć można, że program w Colosseum jest bardzo dobry. Kinematograf pokazuje nam rzeczy bardzo zajmujące, między innemi polowanie na jelenie, oraz procesyę Bożego Ciała w Wiedniu z Cesarzem na czele. Sala Colosseum jest teraz także bardzo wygodną. Publiczność siedzi nie w fotelach, ustawionych rzędami, ale swobodnie dokoła stolików.

Inspektor szkolny, Jan Bieroński, który zbiegł przed paru dniami z Chrzanowa, zdefraudowawszy z funduszu szkolnego kilka tysięcy koron, uchodził za jednego ze zdolniejszych inspektorów okręgowych i temu chyba tylko przypisać należy ten dziwny fakt, że władze znały postępowanie jego a patrzyły na wszystko przez palce. Defraudacya bowiem, o której mówimy, nie była pierwszą. Już przed kilku laty naruszył on fundusze jednej z publicznych instytucyj, w której wybitne zajmował stanowisko. Wtedy jednak wybawił go z niemiłej sytuacyi jeden z przyjaciół i zapłacił za niego 2·400 koron. Obecnie wyszły na jaw większe braki, lecz kto wie, czy nie pospieszonoby mu z pomocą, gdyby nie to, że Bieroński nie zwierzył się przed nikim, lecz zauważywszy, że dalsze ukrywanie deficytu jest niemożliwe, zostawił żonę i dzieci na pastwę losu, a sam uciekł. Bieroński jest podobno ofiarą hazardownej gry w karty, którą uprawiał w jednem z sąsiednich miasteczek z wielką, niczem nie powstrzymaną namiętnością.

Władze szkolne dobrze o tem wiedziały, a jednak ani nie zawiesiły go w urzędowaniu, ani nie zapobiegły temu, aby on miał w swojej dyspozycyi fundusze publiczne. To też aby sprawiedliwości stało się zadość, należy się domagać, aby cała zdefraudowana kwota przez p. Bierońskiego została zwrócona skarbowi publicznemu przez jego przełożonych. Trzeba żywić nadzieję, że przecież któryś z posłów sejmowych wniesie w tej sprawie interpelacyę i zażąda wyjaśnień ze strony rządu.

Wspólny minister skarbu, którym mianowany został w miejsce śp. Kallaya baron Burian, jest z pochodzenia Słowakiem i zięciem byłego ministra honwedów barona Fejervarego. Po ukończeniu gimnazyum w Preszburgu wstąpił on do Akademii oryentalnej, służył następnie jako elew, a potem jako wicekonsul na Bałkanie i w Egipcie, był przelotnie w Warszawie przy konsulacie austryackim, gdzie ponieważ mówił doskonale po polsku, uważano go zrazu za Polaka, poczem bawił przez cztery lata w Rosyi, jako kierownik konsulatu generalnego w Moskwie. Przeniesiony stamtąd do Sofii, przerzucił się na pole dyplomacyi i z generalnego konsula został posłem nadzwyczajnym i pełnomocnym ministrem. Od r. 1897 przebywał w Atenach i tam to dostała się mu w ostatnich dniach skutkiem zgonu Kallaya, teka wspólnego ministra skarbu i stanowisko administratora Bośni i Hercogowiny.

Z Truskawca piszą nam: W dniu wczorajszym (28 b. m.) w kaplicy zakładowej truskawieckiej odbyło się solenne nabożeństwo za duszę ś. p. Leona XIII. Właściwa uroczystość żałobna rozpoczęła się w poniedziałek wieczorem odmówieniem Różańca, wczoraj zaś w czasie jutrzni odczytali ciche Msze św. xx. superior Miszkiewicz, prałat Gregorczyk i kanonik Puszet. Nastąpiła Msza śpiewana przy ołtarzu głównym i dalsze Msze czytane u ołtarzy bocznych. Po ukończeniu nabożeństwa wstąpił na ambonę znany w całym kraju krasomówczy kaznodzieja ks. Bratkowski T. J. i w porywających iście słowach skreślił wielki żywot Ojca św. Ter z przy udziale kilkunastu kapłanów odprawiono kondukt, poczem po dwugodzinnych modłach opuściła świątynię i przyległy plac zebrana tu w komplecie drużyna truskawiecka, w tej liczbie zaś: Lubomirscy, Tarnowscy, Mycielscy, Wierzchleyscy, Cieńscy, Lekczyńscy, prezydent senatu w najwyższym trybunale Budzynowski, ogółem osób około tysiąca.

Tu nadmienić należy, iż główną zasługę w urządzeniu tej podniosłej uroczystości ma czasowy kapelan, X. superior Miążkiewicz, oraz komitet pań, złożony z pp.: z Zamoyskich Rozwadowskiej, Tadeuszowej Czapelskiej, Bolesławowej Wierzchleyskiej i jej córek. Panie te zajęły się żałobną dekoracyą wnętrza i frontonu kościoła, która wypadła imponująco i prawdziwie artystycznie. Rozdano też między tłum w setkach egzemplarzy kolorowane podobizny Ojca św., co również przyczyniło się do podniesienia tego wyjątkowego obchodu.

Z Gracu nam donoszą, że 23 lipca rb. odbyła się na tamtejszym uniwersytecie promocya na doktora obojga praw, p. Stefana Slęka, konceptowego praktykanta lwowskiego namiestnictwa, a syna Franciszka Slęka, zasłużonego dyrektora Kasy oszczędności w Krakowie i prezesa rady nadz. Banku dla handlu i przemysłu.

Pierwszy kurs pożarnictwa dla nauczycieli ludowych. Wczoraj, t. j. w dniu 27 b. m. odbyło się na strażnicy miejskiej uroczyste zakończenie I. kursu pożarnictwa dla nauczycieli ludowych.

W obecności reprezentantów c. k. Rady szkolnej kraj. pp. radcy dworu Dembowskiego i inspektora kraj. Zaleskiego, zastępcy Związku strażackiego p. Henryka Rewakowicza, radcy magistratu a honorowego komendanta kursu p. Prauna i całego grona nauczycielskiego kursu przeprowadził sekretarz Związku, p. Szczerbowski, praktyczne ćwiczenia strażackie. Sprawność, z jaką nauczyciele wykonywali czynności obronne, świadczyła, że wyzyskano należycie krótki czas ośmio-dniowy, przeznaczony na kurs, a rezultat przynosi zarówno chlubę nauczycielstwu jak i jego kierownictwu.

W kursie wzięło udział 24 nauczycieli z różnych stron kraju, prawie wyłącznie z gmin wiejskich, a przedmiot wykładów, oprócz rozlicznych ćwiczeń praktycznych, teoryi o przyrządach, gimnastyki strażackiej i t. p. stanowiły: taktyka pożarnicza, organizacya straży pożarnych, nauka o pierwszej pomocy w nagłych wypadkach, pogląd na historyczny ro wój obrony pożarnej i ustawy, mające związek z pożarnictwem.

Grono nauczycielskie stanowili pp.: Szczerbowski, Durski, Szafrański i dr. Lickendorf. Przy ćwiczeniach praktycznych skutecznie pomagali sierżanci lwowskiej straży miejskiej pp. Matuszewski i Mandel, a ochotnicy lwowscy, pod umiejętnem naczelnictwem p. M. Majewskiego, przeprowadzili wobec uczestników kursu wzorowe ćwiczenia strażackie.

Strona gospodarcza i ekonomiczna kursu spoczywała w rękach p. Złotowskiego, zastępcy naczelnika straży miejskiej, który wywiązał się z zadania ku ogólnemu zadowoleniu uczestników.

Nad doprowadzeniem do skutku tego I kursu pożarnictwa dla nauczycieli pracował Związek strażacki od lat paru; wreszcie energii inicyatora dra Alfreda Zgórskiego udało się przełamać liczne trudności i uprzedzenia. Obecność reprezentantów Rady szkolnej na popisie, ciepłe i serdeczne słowa radzcy dworu p. Dembowskiego, który w ostatniej już chwili postarał się o fundusze, aby uzupełnić niedość dokładnie obliczone poprzednie koszta podróży dla nauczycieli, świadczą, że zdrowa dla kraju myśl odniosła zupełny tryumf.

To zainteresowanie się kursem ze strony władz szkolnych budzi nadzieję, że kursa strażackie dla nauczycieli będą się częściej odbywały i staną się rozsadnikami organizacyi pożarniczej w gminach wiejskich. Każdy z pouczonych na kursie nauczycieli, jeżeli tylko znajdzie należytą pomoc ciał autonomicznych, będzie mógł oddziaływać w znacznym promieniu, a po kilku takich kursach, cały kraj pokryje się siecią towarzystw obronnych, które uratują krajowi miliony, a stanowi nauczycielskiemu przyniosą chlubę i uznanie społeczeństwa.

Obywatelstwo honorowe. Spoźniła się nieco Rada gminna Kołomyi i dopiero teraz uchwaliła byłemu namiestnikowi hr. Pinińskiemu obywatelstwo honorowe.

Pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosyi aresztowano w Brodach poddanego rosyjskiego, niejakiego Stefana Maryana Dzikowskiego, liczącego 29 lat i po przeprowadzeniu dochodzenia oddano go w ręce brodzkiego sądu powiatowego.

Dziwny zakaz. W Bawaryi ministeryum zakazało dzwonić po kościołach po zgonie Ojca św. w taki sposób, w jaki jest tam praktykowane dzwonienie po zgonie panującego. Zakaz ten wywołał ogromne wśród ludności oburzenie, tembardziej usprawiedliwione, że Bawarya jest krajem katolickim.

Koncerty na mandolinach. Grono studentów, umiejących grać na mandolinach, występuje od pewnego czasu w Krakowie w roli grajków ulicznych i zbiera od przechodniów datki na powodzian. Wzruszona do głębi publiczność sypie groszem hojnie, a młodzieńcy w poczuciu spełnienia dobrego czynu, wyciągają bez zarumienienia rękę po datki.

Robotnicy chińscy. Agenci warszawskich domów komisowych przebywający w Mandżuryi odnieśli się do swoich mocodawców w Warszawie z zapytaniem, czyby ziemianie w Królestwie polskiem nie zechcieli sprowadzać Chińczyków do robót przy roli. Twierdzą oni, że przy zaangażowaniu Chińczyków na pół roku opłacą się zupełnie koszta podróży, a przy angażowaniu na dłuższy peryod, zysk będzie znaczny. Nadto uzyskają robotnika posłusznego, trzeźwego, ogromnie pracowitego — w rolnictwie wykształconego tak, jak żaden robotnik europejski a przytem nie zarażonego socyalizmem Domy komisyjne warszawskie ogłosiły wezwanie do ziemian w Królestwie polskiem i proszą o oznaczenie liczby robotników, jakiej każdy ziemianin potrzebuje.

Zaprzeczenie. Z zarządu dóbr metropolitalnych proszą nas o zaznaczenie, że mylnem jest podane zapomocą plakatów doniesienie, jakoby wielki jarmark, odbywający się corocznie w dniach od 18 sierpnia do 1 września w Uniowie, miał się odbyć w tym roku wyjątkowo w Przemyślanach. Jarmark ten, podobnie jak corocznie, tak i w tym roku odbędzie się w terminie powyższym w Uniowie.

Dola wychodźców. Do Lwowa przybyło wczoraj z Krakowa jedenastu młodych parobków, pochodzących z Firlejowa, którzy przed paru miesiącami wyruszyli z Galicyi do Niemiec na robotę, zwiedzeni obietnicami jakichś ajentów emigracyjnych. W poszukiwaniach za robotą doszli oni aż pod Gdańsk i tam przyjęli obowiązki u jakiegoś obywatela ziemskiego, Niemca.

Niestety jednak, obywatel ów nietylko źle się z nimi obchodził, ale co więcej, poprostu głodem ich morzył i nie płacił wynagrodzenia umówionego, wreszcie zaś napędził ich zupełnie i biedni wychodźcy, przeważnie, młodzi chłopcy, znaleźli się od razu bez środków do życia. Ostatecznie, po długich korowodach, władze zajęły się nimi i wysłały ich do Krakowa, skąd znowu odesłano ich wczoraj do Lwowa. Tutaj zajęła się nimi policya i po załatwieniu formalności odeszle ich do miejsca przynależności.

Los tych biednych wychodźców powinien stać się przestrogą dla innych nierozważnych, którzy dają się brać na lep ajentów emigracyjnych i giną potem zwykle marnie na obczyźnie.

Morderstwo. W okolicy Starego Sącza, tuż prawie zaraz za miastem, popełnione zostało w poniedziałek wieczór morderstwo przez jakichś niewyśledzonych dotąd sprawców. Ofiarą jego padł Jan Stepański, subjekt w pewnym sklepie bławatnym w Starym Sączu. Jak wynika z przeprowadzonego śledztwa, mordercy napadli Stepańskiego na drodze krajowej, wiodącej do Nowego Sącza, a zamordowawszy go, zawlekli następnie swoją ofiarę na most kolejowy i zrzucili stamtąd trupa na tor kolejowy, a to w tym celu, ażeby wzbudzić podejrzenie, że Stepański popełnił samobójstwo. Na drugi dzień rano znaleziono Stepańskiego na szynach z jedną nogą odciętą kołami pociągu.

Przypuszczają, że morderstwo popełnili dwaj bracia Stepańskiego, którzy mieli z nim ciągłe zatargi o spadek, a przypuszczenie to potwierdza fakt, że zaraz po dokonaniu morderstwa zbiegli oni w niewiadomym kierunku.

Zmarli. Jarosław Skarbek Michałowski starszy inspektor gen. inspekcyi austr. kolei żelaznych zmarł 22 b. m. w Kaltenleutgeben. Za młodu był dziennikarzem i przed rokiem 1863-im należał do redakcyi wydawanego we Lwowie przez Jana Lama humorystycznego pisma „Kuźnia".

W Okocimiu zmarł X. Bartłomiej Unger, proboszcz tamtejszy, w 64 r. życia.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 14 w poł. + 18. Bar. 764. Nieruchomy. Dość pogodnie.

Z amerykańskich dowcipów.

Szczęśliwy kolonista.

— Jakże wam się wiedzie?

— Wcale nieźle: Miałem właśnie wykarczować las, gdy przyszedł cyklon i powyrywał drzewa. Nie na tem koniec. Miałem spalić drzewa, kiedy uderzył piorun i oszczędził mi fatygi. Teraz oczekuję trzęsienia ziemi, żeby mi wytrzęsło kartofle z ziemi.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś we środę „Wesoły inwalida".—We czwartek „Trzy życzenia." — W sobotę „Trójka hultajska.—W niedzielę „Piękna z N. Jorku".

Repertuar letniego teatru ludowego przy ul. Kochanowskiego l. 23. We czwartek 30 lipca występ Adolfiny Zimajer. Po raz pierwszy „Nitouche," operetka w 4 a., muzyka Hervego.

Cyrk. Dziś we środę wieczór nowości. Looping the loop, jazda po pętlicy w zabójczem kole. Nowa wielka sensacya 20 wieku, wykonana przez Amerykanina światowej sławy mr. Bromsa. Produkował się on w Londynie w pałacu kryształowym 300 razy. Mr. Broms ofiarowuje 10.000 koron temu, kto taką jazdę wykona. Występ wszystkich artystów i artystek.

Colosseum w pasażu Hermanów. Codziennie o godz. 8 wieczorem wspaniałe przedstawienie, w niedzielę dwa przedstawienia, w ogrodzie, a w razie niepogody w sali przy stolikach na wzór teatru Ronachera. Obecnie zapasy damskie; 10 najsilniejszych kobiet świata i dziewięć różnych atrakcyi.

Literatura i sztuka.

Z teatru ludowego. W roli Jusufa z wybornej komedyi A. N. Orłowskiego p. t. „Łapownicy" wystąpił wczoraj gościnnie na scenie teatru ludowego p. Bolesław Szczurkiewicz, artysta teatru krakowskiego. Podejmując się odtworzenia tej roli, artysta krakowski miał jedną wielką trudność do pokonania, a mianowicie miał w niej do walczenia z tak groźnym współzawodnikiem, jakim jest p. Kamiński, który — jak wiadomo — zalicza Jusufa do najlepszych swoich kreacyi. Czy z walki tej wyszedł p. Szczurkiewicz bodaj obronną ręką — o tem na razie mowy być nie może, a to głównie z tego powodu, że Jusuf w jego interpretacyi był tak w samym pomyśle, jak i w przeprowadzeniu, jedynie kopią gry p. Kamińskiego.

Była to jednak kopia w całem tego słowa znaczeniu wyborna, taka, że z przyjemnością prawdziwą obserwowało się z widowni sobowtóra p. Kamińskiego w tej roli, który z mistrzowstwem niemal naśladował aż do złudzenia grę swojego kolegi lwowskiego, każąc widzom niejednokrotnie zupełnie zapominać o tem, że i od aktora wymaga się oryginalności, że samo naśladownictwo nie zastąpi nigdy inwencyi twórczej, choćby nawet była ona bardzo, bardzo skromna. A p. Szczurkiewiczowi na pomysłowości znowu chyba nie zbywa; dowiódł on tego w akcie trzecim, rozgrywającym się w restauracyi, a mianowicie w chwili, gdy już całkiem pijany zwalił się z krzesła na ziemię, dowiódł tego i w kilku innych jeszcze szczegółach, prawdziwie znakomicie pomyślanych, cóż jednak, kiedy całość roli, kiedy nietylko zasadniczy pomysł, ale nawet techniczna strona gry żywcem były wzięte z p. Kamińskiego, a p. Szczurkiewicz tak się przejął rolą niewolniczego kopisty gry cudzej, że, gdy miał coś własnego do zrobienia i pokazania, czuł się jakiś jakby nieśmiały i zażenowany. A szkoda prawdziwa, bo p. Szczurkiewicz mimo wszystko pokazał wczoraj, że ma wybitny talent aktorski i że, gdyby tylko chciał, mógłby na scenie być czemś więcej, niż... użytecznym tylko aktorem.

Gra innych aktorów w sztuce była na ogół dobra, a wyróżnili się zwłaszcza: panie Czajkowska i Olańska, oraz pp. Dulęba, Lipczyński i Czajkowski.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 27 lipca.

(Z). Likwidacya rachunków miesięcznych jest już prawie przeprowadzona. — Odbyła się ona gładko, gdyż rozmiary nierozwikłanych zobowiązań są stosunkowo nieznaczne. Statuta „Petrolei" zostały już zatwierdzone przez władze i tymi dniami nastąpi ukonstytuowanie się tego Towarzystwa akcyjnego. Giełda zachowuje się jednak na razie dosyć obojętnie wobec tego faktu, gdyż ważniejszą dla niej jest sprawa zawiązania kartelu rafinerów nafty, a ta sprawa wciąż natrafia na wielkie trudności z powodu wygórowanych żądań niektórych rafineryj co do przyznania im wyższego kontyngentu.

Również na nieprzezwyciężone trudności natrafia zorganizowanie kartelu rafineryi cukru. Chciano zawiązać ten kartel na lat pięć, ale niektóre czeskie rafinerye tylko w takim razie godzą się na to, jeżeli przyznany im zostanie wyższy kontyngent. Zdaje się tedy, że się skończy na tem, iż istniejąca obecnie organizacya centralnej sprzedaży cukru przedłużona zostanie prowizorycznie na jeden rok.

Z Nowego Yorku donoszą, że znów dwie znaczne firmy giełdowe musiały zgłosić niewypłacalność. W tamtejszych sferach finansowych robią wysokie zakłady o to, czy ta lub owa firma utrzyma się jeszcze do końca tygodnia, czy też będzie musiała likwidować.

Giełda paryska bardzo życzliwie przyjęła nowy gabinet hiszpański. Szef jego bowiem p. Villaverde zdawna cieszył się zaufaniem francuskich sfer finansowych, to też powołanie jego do steru rządów powitano na giełdzie zwyżką kursu renty hiszpańskiej.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 662·25, węg. Zakł. kredyt. 731·00, Anglobanku 273·00, Unionbanku 526·00, Länderbanku 409·25, Bankvereinu 479·50, Bodencredit 914·00, Gal. Banku hip. 000·00, Statsbahny 668·50, Lombardy 82·25, Kol. Elbethal 422·00, Północnej 5400, Czerniowieckiej 575·00, Alpiny 366·50, Rima Muranyi 456·00, Praskiego Tow. żel. 1620, Fabryki broni 348·00, Tureckie tytoniowe 358·50, Oblig. węg. indemniz. 98·75, Renta majowa 100·40, Austr. renta koronowa 100·60, Węgier. renta koronowa 99·30, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 98·70, 4% Listy Banku krajow. 98·75, 4½% Listy Banku krajow. 102·25, 4% Listy Banku hipotecznego 98·00, 4½% Listy Banku hip. 101·00, 5% Listy Banku hipotecz. 111·90, 4% Gal. Oblig. propin. 100·00, 4% Gal. poż. kraj. z 1893 r. 99·30, 4% Poż. m. Lwowa 96·45, Losy turec. 122·00, Marki 117·25, Ruble 252·75.

§ **Sprawozdanie targowe lwowskiej izby kupieckiej.** Lwów 28 lipca. (Ceny w koronach za 50 kg. netto loco (paritas) Lwów bez akcyzy).

Pszenica prima 8.00—8.10, średnia —.——.—, żyto prima 5.80—5.90, średnie 0.00—0.00, jęczmień browarny 4.80 5.—, pastewny 0.00—0.00, owies prima 5.50—5.75, średni 0·00—0.00, kukurudza prima 6.25—6.60, średnia 0.00—0.00, rzepak zimowy 9.— do 9.50, letni —.— do —.—, siemię lniane 0,00 0.—, siemię konopne 0.00—0,00, groch do gotowania 8.00—8.25, zielony 7.75—8.00, pastewny 0.00—0.00, bobik koński 4.75—5.00, wyka 0.00—do 0.00, otręby pszenne 3.25—3.50, żytne 3.80—3.90, koniczyna czerwona prima 48.— do 52.—, biała prima 60.00—65.—. Chmiel 150—160.

Spirytus surowy bez podatku loco stacye: — Husiatyn-Stanisławów kont. 35.75—36.00, nadkont. 20.25—20.75; Tarnopol-Brody kont. 36.25—36.50, nadkont. 20.50—21.00; Sokal-Jarosław kont. 36.75 do 37.25, nadkont. 21.— do 21.25; rafinerye Lwów kont. 38.50 do 38.75, nadkont. 22.50 do 22.75. — Cena bez wszelkich kosztów za 10.000 litr. proc.

§ **Cennik ziemiopłodów w Krakowie** z dnia 28 lipca 1903 r. w Hali zbożowej. Tendencya co do pszenicy niezmieniona.

Pszenica czerwona i żółta 7.80—8.25, żyto dworskie 6.30—6.70, targowe 6.00—6.30, jęczmień na krupy 5.50—6.20, na paszę 4.90—5.75, owies 5.75 do 6.50, tatarka 6.50 do 7.70, kukurydza nowa 6.50—7.—, cinquantin nowa 7·50—7.70, groch Wiktorya 10— do 12—, zwykły 8.00—9.50. pastewny 7.50—8.50, fasola cukrowa 10.50—11.75, długa 10.00—10.50, krótka 9.10—10.50, bobik 5.50 do 5.75, wyka 5.50—6.25, nasienie konopne 8.25 do 8.70, mak niebieski 25.—do 27.—, szary 20.— do 22.—, otręby pszenne 4.20—4.40, żytne 4.25—4.30, mąka czerwona 5.00—5.20, ofagi 3.70 4.00, siano zwyczajne 3.00—3.20, koniczyna pastewna 3.40 do 3.50. Słoma żytnia długa 2.— do 2.20. Ceny notowane za 50 kg.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Koburg 29 lipca. Ks. Ferdynand bułgarski odjechał wczoraj popołudniu wraz z innymi członkami domu koburskiego, przybyłymi tu z okazyi rocznicy śmierci ks. Augusta Koburga, do Monachium, skąd uda się do swych dóbr na Węgrzech.

Wiedeń 29 lipca. W ministerstwie kolei odbyły się wczoraj obrady w sprawie rewizyi taryfy kolejowej z powodu wyniku konferencyi brukselskiej. Wzięli w nich udział reprezentanci interesowanych ministerstw i korporacyi przemysłowych. Przewodniczący szef sekcyi Lihařik przedstawił powody zwołania konferencyi. Reprezentanci kół interesowanych wskazywali na to, że konwencya brukselska przyniesie austryackiej produkcyi cukru jak najdotkliwsze szkody. Zaradzić temu można w pierwszym rzędzie przez uregulowanie taryfy kolejowej, którą należy sprowadzić przynajmniej do poziomu taryfy niemieckiej. Potrzebne jest jednak nietylko uregulowanie taryfy eksportowej, ale także zniżenie taryfy dla surowca cukrowego.

Budapeszt 29 lipca. Partya liberalna w Debreczynie jednogłośnie przyjęła wniosek, wzywający rząd i rządową partyę liberalną, aby przyjęły za swoje postulaty narodowe, odnoszące się do armii, i przeprowadziły ich spełnienie.

Rzym 29 lipca. *Patria* zapewnia, że para carska z końcem października przybędzie do Rzymu w odwiedziny króla włoskiego i złoży przytem także wizytę Papieżowi z ambasady rosyjskiej.

Królowa matka Małgorzata przybyła tu wczoraj, a król Wiktor Emanuel przybędzie dziś, aby wziąć udział w nabożeństwie w rocznicę śmierci króla Humberta.

(Depesze popołudniowe).

Ischl 29 lipca. Nowy wspólny minister skarbu Burian złożył dziś przed południem przysięgę w ręce Monarchy. W zastępstwie hr. Gołuchowskiego pośredniczył przy tym akcie minister wojny Pitreich.

Londyn 29 lipca. Izba niższa. W dalszym ciągu obrad nad przedłożeniem cukrowem zwalczało kilku liberalnych posłów konwencyę cukrową i oświadczyło, że rezultatem konwencyi będzie podwyższenie ceny cukru. Liberalny poseł Boyce zapytał, czy rząd zastosuje klauzulę karną na wypadek, gdyby Austrya i Węgry nie cofnęły swej ustawy cukrowej przed dniem 1 września b. r. Sekretarz urzędu handlowego zaznaczył, że Anglia według postanowień konwencyi nie będzie obowiązana zastosować klauzuli karnej, aż komisya cukrowa orzeknie, że Anglia jest do tego zobowiązana. Komisya zaś ta nie zbierze się przed 1-ym października.

Madryt 29 lipca. Rząd zażądał kredytu 4 milionowego, z czego 2 miliony będą użyte na arsenały w Kadyksie, Kartagenie i Ferrolu, zaś 2 miliony na flotę.

Paryż 29 lipca. Konserwatywne dzienniki atakują ostro prezesa gabinetu Combesa, ponieważ nawet nie kazał się zastąpić na wczorajszem nabożeństwie za Papieża w kościele Notre Dame. *Figaro* powiada, że Combes wyraźnie dał tem do zrozumienia, że chciał ugłaskać antyklerykałów, którzy grozili ulicznemi demonstracyami. Czy nie należy się obawiać, że kardynałowie będą się czuli dotkniętymi tem zachowaniem się francuskiego rządu — ponieważ jest to jedyny rząd w Europie, który swą nieobecnością podczas żałobnego nabożeństwa zaprotestował przeciw hołdom, złożonym pamięci zmarłego Papieża. Czy kardynałowie mogą wobec takich stosunków wybrać przyjaznego Francyi Papieża?

Radykalne dzienniki oświadczają, że niejednolite postępowanie ministrów przy tej okazyi dowodzi, że w obecnym gabinecie nastąpiło rozdwojenie. *Lanterne* pisze, że oba kierunki, które zwalczają się w ministerstwie, wyraźnie zadokumentowały swe istnienie na owem nabożeństwie żałobnem.

Budapeszt 29 lipca. W sejmie postawi partya rządowa wniosek przerwania dyskusyi nad programem nowego rządu, a rozpoczęcia obrad nad prowizoryum budżetowem. Podobno obstrukcya sprzeciwi się uchwaleniu tego wniosku.

Jak słychać, wszelkie projekty ugodowe, które się wyłoniły, a miały na celu ugłaskanie obstrukcyi, zostały odrzucone, ponieważ głównym punktem opozycyi było to, aby rząd dał stanowcze oświadczenie, że do pewnego wyznaczonego terminu zaprowadzi w armii komendę w węgierskim języku. Na to zaś ani stronnictwo liberalne, ani rząd nie mógł się zgodzić.

HOTEL GEORGE'A.

Przyjechali dnia 29 lipca. Z. Komorowicz z Zakopanego. J. Redlich, J. Prochnik, C. Metzner i E. v. Prochnik z Wiednia. M. Zieliński ze Strutyna. A. Liebermann z Krakowa. S. Jędrzejowicz z Sokala. L. Cyga z Bursztyna. JE. hr. W. Dzieduszycki z Jezupola. C. Gardesco z Bukaresztu.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 29 lipca. J. hr. Bobrowski z Ciężkowic. G. Cegliński z Przemyśla. E. Maryański z Rosyi. J. Łaski z Sokala. A. Waligórski z Swaryczowa. F. Keppert z Bukowiny. F. Jaruntowski z Twierdzy. T. Tarasiewicz z Borysławia. J. Stiasny z Sanoka. M. Friedenfeld, M. Walter i A. Bukwitz z Wiednia. J. Reinsberg z Pragi. A. Muzulscy z Niemirowa. J. Dobnalek i F. Pechaczek z Czech. N. Zwillinger z Egersu. B. Tagawicz i G. Korjakin z Radziwiłłowa.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 29 lipca. S. Agopsowicz z Błozwi. F. Wysocki z Zubowmostów, J. Majewski z Strękowa. Dr. J. Stawiński z Warszawy. S. Denker ze Strzelec. G. Daamański z Warszawy. M. Maciszewski z Tarnopola. W. Smakowski ze Schodnicy. J. Gotleb Haszlakiewicz z Gańczar. J. Karzanowski z Rosyi. J. Kimelmann z Uhryńkowic. J. Zdanowicz ze Schodnicy. J. Fedorowicz ze Schodnicy. M. Wagner z Berlina. J. Gruner z Berna.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 29 lipca. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kred. z obl. pr.	z r. 1890	3%	287.—
„ „ „ „	z r. 1889	3%	000.00
Tow. żegl. na Dunaju	100 zł. m. k.	4%	277.00
Uregulow. Dunaju z r. 1880	100 zł.	5%	278.—
Węg. Banku hipotecznego	po 100 zł.	4%	259.—
Pożyczka serbska prem.	po 100 frank.	2%	86.60
Tureckie obl. prem. kolej.	po 400 frank.		121.95

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 18.90. Zakładu kred. dla handl. i przem. po 100 zł. 430.00, Clary 40 zł. m. k. 160.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 83.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 80.00, Pożyczka m. Lublany 20 zł. 72.00, Ofen 40 zł. 167.00, Palfiy 40 zł. m. k. 171.00. Czerwonego krzyża austryackie 10 zł. 54.00, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 26.60, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 68.—, Salma 40.00, m. k. 221.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 79.50 zł. Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 255.00, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 452.—.

Wiedeń 29 lipca. (Giełda towarowa). Cukier 20·55 (stale). Spirytus 41·60 (stale). Nafta niezmieniona.

Berlin 29 lipca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·25. Spirytus 00·00.

Paryż 29 lipca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·45. Mąka („Fleur de Paris") 32·15.

Frankfurt 29 lipca. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 208·30. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 187·30. Laura 000·00.

Budapeszt 29 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 7·24—7·25; żyto na październik 6·09—6·10, owies na październik 5·29—5·30; kukurudza na lipiec 0·00—0·00, na sierpień 6·13—6·14, na wrzesień 6·15—6·16, na maj 1904 4·94—4·95. Rzepak na sierpień 11·40—11·50. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna: ograniczona. — Usposobienie: słabe. Pogoda: piękna.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 29 lipca.

Marki 117.32, renta majowa 100.40, węgierska renta koronowa 99.30, akcye: austr. zakł. kredyt. 662.00, węg. zakł. kred. 732.00, anglobanku 274.00, unionbanku 527.00, bankvereinu 480.00, länderbanku 409·75, kolei państw. 667.75, lombardy 82.00, akcye kolei Elbethal 423·00, fabryki broni —.—, tytoniowe 359.50, alpiny 367.00, Rima Muranyi 457.50, prag. Tow. żel. 0.000, losy tureckie 121·00, ruble 253.00. Usposobienie: spokojne.

Lwów 29 lipca. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 570.— do 580.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 535·00 do 545·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor —·— do —·—. Tow. budowy wagon w w Sanoku po 500 koron —·— do 850·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hip t. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc los w 50 lat 100.80 do 000·00, 4 proc. los w 60 lat 97·80 do 00·00 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 50 lat 101.70 do 102·40. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 98·75 do 99.45 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98·50 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 9[illegible]·50 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98·55 do 99·25.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc 99.80—100.50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 103.00 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 101.70 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.80 do 99.50. Pożyczki kraj z roku 1878 4½ proc, —.— do ——. 4 proc z 1893 r. 99.80—100.00, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 96·80 do 00.00, 4½% po 200 koron 101.50 do 000.00.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1903 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*.
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.80, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.35, 5.06, 10.02*.
Z Tarnopola: 3.80* (na dw. gł.) 8.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.***, **1.40**, 6.20, 5.40, 9.20*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.85, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.
Z Janowa: 7.40, 1.25, 9.25*, 10.07* (od 17|5 w niedziele i święta).
Z Brzuchowic: 8.15 (od 17|5), 8.14 (od 17|5 w niedziele i święta), 8.04* (od 17|5 w niedziele i święta). 8.25* (od 15|5 w dni powszednie), 9.12* (od 17|5 w niedziele i święta).
Z Tuchli: 4.85 (od 15|6).
Ze Skolego: 4.55 (od [illegible]|5).
Z Pustomyt: 9.85 (od 1|6 w niedziele i święta).

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*, 8.25, 2.50**, 4.10*, 8.85, 6.15*, 10.55*.
Do Rzeszowa: 8.25.
Do Przemyśla: 7.20*.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.80, 9.—*, 11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24.
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 8.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Janowa: 9.15, 1.14 (od 17|5 w niedz. i święta), 8.15, 6.80*, 9.55 (od 17|5 w niedziele i święta).
Do Brzuchowic: 7.05* (od 17/5), 2.10 (od 17|5 w niedz. i święta), 8.80 (od 15|5), 8.14* (od 17|5 w niedziele i święta).
Do Tuchli: 8.05 (od 15|6).
Do Skolego 3.05 (od 1|5).
Do Pustomyt: 1.55 (od 1|6).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

PIOTR l'ERMITE.

NARZECZONA.

Chodził jeszcze w sukienkach, a już na myśl: „co mi też przyniesie gwiazdka?" — odpowiadał sobie: „żołnierzy!"

I na wysokiem krzesełku siedząc, ustawiał ołowianych żołnierzy, szykował ich do boju, budował fortece, staczał walki i ciskał zwycięską dłonią poległe pułki do... wazy z mlekiem.

— Emilu! jesteś niegrzeczny! — karci go matka.

— To Anglicy, mamusiu! — woła malec i bing! drugi pułk wpada do wazy.

Matka łyżką wyławia wrogów, pływających w kolacyi Emila.

Po Anglikach przyszła kolej na Prusaków. Emil, paradujący już w krótkich majteczkach, nie zadawala się żelaznymi żołnierzami. Ustawia szeregiem siostrzyczki i komenderuje:

— Słuchajcie, jesteście Prusakami, a ja Francuzem... jeden Francuz na sześciu Prusaków... Baczność!

Malec usuwa się w głąb salonu, gra pobudkę... przez chwilę skupia w sobie ducha i siły i nagle... hejże na Prusaków! Przez fotele i krzesła wypędza ich z Francyi... goni dalej, do ogrodu... pędzi jeszcze dalej, jak najdalej od Francyi, od ojczyzny! A takie w tej pogoni czyni spustoszenia we własnym kraju, że go ojciec nieraz potarguje za ucho, lub dobrym klapsem poczęstuje.

* * *

W szesnastym roku życia śnił i marzył o wielkich bohaterach wojennej sławy, o Hektorze, Juliuszu Cezarze, Rolandzie, Karolu Wielkim, o Bajardzie i Napoleonie.

— Czem chcesz zostać? — zapytał go ojciec.

— Żołnierzem! — odpowiedział chłopiec bez namysłu.

Oddano go do szkoły wojskowej Saint-Cyr.

Czuł się bardzo szczęśliwym. W chwilach wolnych od ćwiczeń i zajęć, snuł złotą przędzę marzeń... o swej przyszłej sławie. Gdy dawni wychowańcy odwiedzali zakład, stawał się ich cieniem, upajał się ich rozmową; czuł płomienie w duszy.

W klasie, jeśli nad matematyką i innemi suchemi naukami ogarniało go znużenie, krzepił się myślą o promiennej przyszłości, o polach walki, zwycięstwach!

— Cierpliwości, wytrwania! — powtarzał sobie — pracuj i cierp, jutro będziesz żołnierzem!

* * *

Nadszedł nareszcie ów upragniony, z tęsknotą wyczekiwany dzień. Emil z odznaczeniem ukończył szkołę Saint-Cyr.

Wielka boleść bywa niemą i wielka radość także.

Emil, który nie płakał nigdy, dnia tego usiadł na ławce w ogrodzie, przed rodzicielskim domem i bez słowa zapłakał rzewnie, gorącemi łzami, jak dziewczyna, albo... jak młody kapłan, który ostatnie otrzymał święcenie.

Czas pogłębia i rozszerza widnokręgi młodzieńczych marzeń. Miłość ojczyzny nie zabija rzeczywistości. Zrodzona w najświętszych, najczystszych głębiach naszej duszy, mężnieje z biegiem lat, promienieje coraz jaśniejszem światłem. Gdy młody oficer kroczył w swym błyszczącym mundurze, rzekłbyś, że to idzie Francya młoda, piękna, silna, że to idzie przyszłość.

* * *

Po Saint Cyr pułk, kolonie!

Młody kapitan uśmiechał się, ufny w jutro swej ojczyzny, obojętny na wszelkie niechęci, intrygi i walki stronnictw.

— Ach! — mawiał często — ta nasza polityka! Nie mam z nią nic wspólnego i gorąco za to Bogu dziękuję.

Po powrocie do Paryża pokochał i wkrótce zaręczył się z młodą, śliczną i rozumną dziewczyną.

Spodziewał się legii honorowej i poważnej wojennej misyi zagranicą.

— Pojmujesz — tłómaczył przyjacielowi — że chcę ślub przyśpieszyć... Wyjeżdżam do obcych, muszę ją zabrać z sobą... będziemy razem służyli ojczyźnie.

Idą do ołtarza. Kościół kwieciem przybrany, oświetlony rzęsiście, krewni, przyjaciele, towarzysze broni zebrani tłumnie.

Za chwilę ma wyjść kapłan, gdy w tem podają panu młodemu papier z ministeryum. Rozkaz opuszczenia dnia tego jeszcze wieczorem Paryża i udania się na stały pobyt do B.

Młody oficer, drżący, szuka w pamięci. B? ach B! zapadły kąt w Tonkinie... siedlisko chorób... zarazy...

* * *

Wiedziony uczciwością, podaje papier narzeczonej. On nie ma prawa skazywać jej na wygnanie! Jeszcze czas... jeszcze nie związała ich przysięga!

Młoda dziewczyna, piękna jak jutrzenka, biała i czysta w białych osłonach, czyta nieubłagalne, straszne słowa.

Runął odrazu gmach wesołych rojeń, żegnajcie miłe strony, zabawy, rówieśniczki, przyjaciele... uroda i młodość zwiędną przed czasem w dalekim, dzikim kraju! Młodość przeminie i złote rojenia przeminą niezliczone, to prawda, lecz miłość jej wiernie towarzyszyć będzie wybranemu człowiekowi.

Zwróciła papier narzeczonemu i rzekła z prostotą i z promiennym uśmiechem:

— Do śmierci... więcej niż kiedykolwiek...

---

†

Karolina z Hartlów Kuczabińska
wdowa po obywatelu miasta Lwowa.

przeżywszy lat 74, zasnęła w Panu po długiej a ciężkiej słabości, opatrzona św. Sakramentami, dnia 28. lipca 1903 r.

W smutku pogrążeni synowe syn i wnuki zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych na obrząd pogrzebowy, który się odbędzie dnia 30. lipca 1903 r., o godzinie 5-tej po południu z **zakładu św. Łazarza** na cmentarz Łyczakowski.

Lwów dnia 29. lipca 1903.

„CONCORDIA" A. Kurkowski, Lwów, ul. Sobieskiego 1.10.

†

Edward Kratochwill
propinator i zarządca hotelu Francuskiego

przeżywszy lat 54, zmarł po długich a ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami dnia 29. lipca 1903 roku.

Pogrzeb odbędzie się w piątek dnia 31 lipca o godzinie 5-tej po południu z ulicy Łyczakowskiej 1-60 na cmentarz Łyczakowski, na który w smutku pogrążeni brat, siostry i rodzina zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych.

Lwów, dnia 29 lipca 1903.

„CONCORDIA" A. Kurkowski ul. Sobieskiego l. 10

L. M. 18/III/902.

Ogłoszenie licytacyi.

Celem oddania w przedsiębiorstwo oświetlenia naftą miasta Lwowa, względnie przedmieść lwowskich o ile takowe nie mają jeszcze oświetlenia gazowego **na przeciąg jednego roku** t. j. od 1-go września 1903. do 31. sierpnia 1904 r. rozpisuje Magistrat niniejszem publiczną licytacyę ofertową **na dzień 30 lipca 1903 r. (czwartek) o godzinie II-tej przed południem.** Licytacya odbędzie się w ratuszu III. piętro w III. Departamencie.

Mający chęć ubiegania się o to przedsiębiorstwo winni wnieść w oznaczonym terminie licytacyjnym oferty pisemne, ostemplowane i opieczętowane, w których należy podać ceny żądanego wynagrodzenia za jeden płomień i jedną godzinę palenia w poszczególnych gatunkach latarń, oraz dołączyć kwit na złożone w kasie miejskiej wadyum, względnie kaucyę kontraktową w kwocie czterech tysięcy (4000) kor.

Bliższe warunki licytacyjne, względnie kontraktowe przejrzane być mogą przed terminem licytacyjnym w III. Departamencie Magistratu (gmach ratuszowy III. piętro) w godzinach urzędowania.

Lwów 16. lipca 1903.

Magistrat kr. st. miasta.

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.